

MARIA KRUGER

BYŁO? NIE BYŁO?

Siedmioróg

Projekt okładki Studio Siedmioróg

Copyright by Maria Kruger

ISBN 83-85959-03-3

Wydawnictwo Siedmioróg, Wrocław 1994

Ake.

Śpiewaj, rybko!

Nie mało jest ryb w naszym Bałtyku, a nasze rzeki, stawy i jeziora też są ich pełne. Ale nikt jeszcze nie słyszał rybiego głosu. A dlaczego?

Starzy rybacy powiadają, że zdarzyło się to na samym początku świata, kiedy nie wszystkie sprawy na ziemi były uporządkowane. Na przykład, zwierzęta podobno nie miały jeszcze dobranych dla siebie głosów i nie było na razie wiadomo, jak będą się odzywać, jak nawoływać. I dlatego pewnego dnia zebrały się, żeby ustalić, jakim głosem każde z nich będzie mówić.

Pierwszy ryknął lew, który jak wiadomo piastuje godność króla i jest najważniejszy. Wszystkim zwierzętom ten ryk wydał się bardzo do niego stosowny, bo był tak samo groźny i wspaniały jak wygląd lwa. A za lwem zaczęły się odzywać inne zwierzęta. Pies zaszczekał, owce beczały, gęsi gęgały, kot miauknął przymilnie, wrona zakraka-ła, kura zagdakała, koń zarżał, a krowy muczały, jakby im było smutno.

Już prawie wszystkie zwierzęta dobrały sobie głosy i tylko żaby jako ostatnie popisywały się swoim rechotaniem, gdy wtem na zebranie wpadły spóźnione, zasapane ryby. I nie dość, że się spóźniły, ale jeszcze wcale a wcale nie były zdecydowane, jaki głos chciałyby

5

mieć. Naradzały się między sobą, sprzeczały i ani rusz nie mogły nic postanowić. Aż wreszcie lew zdenerwował się, że nie ma czasu i nie będzie dłużej czekał.

— To może i my będziemy rechotać, tak jak żaby — powiedział wreszcie jakiś szczupak.

— Doskonała myśl! — ucieszyły się inne ryby. — Głos żab bardzo nam się podoba!

Tak więc niebawem we wszystkich stawach, rzekach, jeziorach i morzach zaczęło rozbrzmiewać żabie rechotanie. Rechotały łososie i węgorze, fladry i rekiny, płotki i sumy. I być może ryby rechotałyby do dzisiejszego dnia, gdyby nie to, że zwabione tymi głosami bociany zaczęły przechadzać się nad brzegami wód i odzywać po swojemu: kle-kle-kle!

— Ach, jakież to piękny głos! — powiedział wtedy pewien karp do sandacza. — Gdybyśmy mogły mieć taki sam, jak te wspaniałe ptaki!

— Zupełnie się z tobą zgadzam, kochany karpiu — wtrącił się do rozmowy leszcz. — To jest głos odpowiedni dla nas. Doprawdy, już mi się sprzykrzyło to rechotanie!

— Tak, tak, my też nie chcemy rechotać — zawołały wobec tego wszystkie inne ryby. — Musimy to zmienić... Ale w jaki sposób?

— Poślemy szczupaka do lwa. Niech on to załatwi — zdecydował lin.

— Racja, racja! Niech szczupak gna co tchu do lwa!

— Ostatecznie mogę to załatwić — zarechotał szczupak i z godnością udał się do lwa.

— No dobrze, jeśli tak koniecznie chcecie, to możecie odzywać się bocianim głosem — zgodził się lew. — Mam nadzieję, że już teraz wszystkie ryby będą zadowolone.

— Ależ oczywiście! Dzięki, dzięki, kochany lwie! — zaklekotał szczupak.

Odtąd więc wszystkie wody rozbrzmiewały radosnym klekotem. Ryby wprost nie mogły się nacieszyć swoim nowym głosem i kleko-

6

tały przez cały dzień jak najęte. Aż wreszcie, zmęczone, umilkły wieczorem. Na ciemnym niebie ukazał się srebrny sierp księżycy, z pobliskich wsi dało się słyszeć naszczekiwanie psów. Ryby zasłuchały się w te psie głosy i naraz ogarnęła je zazdrość.

— Takie szczekanie budzi szacunek i należyty respekt — zauważył szczupak. — Wszyscy się boją, kiedy pies zaszczeka. A niechby zaszczekał rekin albo sum. To by dopiero było szczekanie!

— Co racja, to racja — zaklekotały ze smutkiem ryby. — Ale nic się już nie da poradzić!

— Jak to nie? — zaklekotała flądra. — Jeśli idzie o naszą rybią sprawę, o honor rybi i oczywiście o nasze szczęście, to gotowa jestem udać się do naszego władcy i jeszcze raz prosić o zmianę.

— Obróciła się, machnęła ogonem i wkrótce stanęła przed lwem.

— Kle-kle! — pozdrowiła go grzecznie i oświadczyła przymilnie: — Kochany, wspaniały lwie! Wiem, że wszystko jest w twojej mocy i że wszystko możesz zdziałać, jeśli zechcesz. Jesteś też niezmiernie wspaniałomyślny i na pewno chciałbyś, aby wszyscy twoi poddani byli szczęśliwi...

— Mów od razu, o co chodzi — warknął lew, bo nie przepadał za fladrami.

— Chodzi o to, że my, to znaczy ryby, nie chcemy już dłużej klekotać. Sam słyszysz, jakie to jest denerwujące. Czy więc nie byłoby słuszne, abyśmy jednak miały inny głos?

— Jaki?

— Chcemy szczekać... — wyszeptała fladra.

— Szczekać? — lew podrapał się za uchem tylną łapą, bo zawsze mu to pomagało, gdy miał powziąć ważną decyzję, i ryknął: — Niech będzie! Szczekajcie, ile chcecie!

Niosąc radosną wieść o lwim przyzwoleniu, fladra zjawiła się wśród ryb i od razu zaszczekała ciekim głosem:

— Lew się zgodził, możemy szczekać!

Radość była ogólna, ale trwała krótko. Ryby niebawem miały dosyć szczekania, bo dostawały od niego chryпки.

— To nie był dobry pomysł — zaskomlił mały karaś. — A wszystko to przez flądre, której zachciało się szczekania!

— Niech więc płynie teraz do lwa i odszczeka wszystko z powrotem — skowytały rozgoryczone ryby. — Niech odszczeka!

Ale flądra, jak to flądra — ani się jej śniło! Nie chciała płynąć, tłumaczyła się, że jest zbyt zachrypnięta, więc nie będzie mogła przemawiać do lwa. A poza tym, jakimże głosem teraz chciałyby ryby przemawiać?

Ucichły wszystkie, bo się poważnie nad tym zastanawiały, kiedy w wieczornej ciszy, wśród zarośli odezwał się głos cichy, ale tak piękny, tak pełen słodczy, że wszystkie ryby popłynęły do brzegu, żeby go posłuchać.

— Czyjże to głos? — zapytały wreszcie zdumione. — Któż to tak cudnie nuci?

— Nie wiecie? — kwaknęła dzika kaczka, która właśnie usypiała swoje pisklęta. — To słowik!

— Cudowny, cudowny głos! — zaskowyczały złote rybki. — To jest właśnie głos dla nas odpowiedni! Nie jakieś tam szczekanie. Niech sobie szczekają szczupaki czy rekiny, ale nie my!

— My też nie chcemy szczekać — zbuntowały się liny i makrele. — Już dość mamy tego ujadania. Okropność!

— My też chcemy mieć piękny głos — upomniały się śledzie.
— Szczekanie to nie dla nas.

Długie były sprzeczki i narady, aż wreszcie zdecydowano, że tym razem do lwa popłyną z prośbą śledzie.

— No, co tam znów nowego? — mruknął niechętnie lew, widząc przed sobą liczną delegację.

— Nic takiego, zupełny drobiazg — zaskomliły grzecznie śledzie. — Tylko my już dosyć mamy szczekania. To chyba nie jest odpowiedni głos dla ryb. I postanowiłyśmy, że najlepiej będzie, jeśli ryby będą miały głos słowiczy!

Lew ryknął i zerwał się na wszystkie cztery łapy.

— A wam czego się zachciewa? Co to za grymasy? Wszystkie

8

zwierzęta są zadowolone ze swoich głosów, tylko wy wciąż marudzicie. Dosyć tego!

— Przecież musimy mieć jakiś głos... — wtrącił cicho jeden ze śledzi.

— Hm... — zastanowił się lew. — Dobrze, możecie sobie śpiewać słowiczym głosem, ale tylko pod wodą. Na powierzchni nigdy nikt waszego głosu nie usłyszy.

Bardzo się ryby tym wyrokiem zmartwiły. A najbardziej zasmucone były śledzie, które koniecznie chciały przed całym światem popisywać się słowiczym śpiewem. Mogą teraz

wprawdzie śpiewać w głębi wód, ale nikt przecież tego nie słyszy...

'• :: . яЦ' ' Ś ■'.. *Ш

-

O Margosi młynarzównie

rzez zielone łąki, przez zielone gaje, wśród cienistych lasów płynęła rzeka szeroka i głęboka. Woda w niej mieniła się przepięknie, ni to błękitnie, ni to zielono, a ryby uwijały się w

głębinie połyskując srebrzyście. Taka to była ta rzeka, wtedy jeszcze nie nazwana, i tyle tylko było o niej wiadomo, że wpada do Morza Bałtyckiego. Bo działa się ta cała historia w czasach tak dawnych, że jeszcze nie wszystkie rzeki i wsie miały wtedy swoje nazwy.

W owych więc czasach przywędrował nad rzekę młynarz. Nazywał się Marcin. Osiedlił się tu i zbudował młyn. Piękny to był młyn, a woda z rzeki pracowicie obracała wielkie koło.

Zaczęli przyjeżdżać ludzie z całej okolicy, aby w Marcinowym młynie zemleć ziarna na białą mąkę. Uwijał się młynarz przy tej robocie przez cały dzień, aż do ciemnej nocy. A pomagało mu trzech młynarczyków i młynarzowa. Gwar i hałas były przy tym wokół ogromne. Bo huczała woda, spadając z koła, huczały wielkie kamienie, które gniotły ziarna, skrzypiały koła wozów, na których przywożono zboże, rżały konie, pokrzykiwali woźnice, pokrzykiwali młynarczyko-wie. Uciszało się wszystko dopiero w nocy, kiedy ludzie w młynie układali się do snu, a koło się nie obracało. Woda wtedy szumiała z cicha i pluskała, a świerszcze grały wśród nadbrzeżnych traw.

10

Mała Margosia, córeczka młynarza, zapewniała, że słyszczyć też nocą jakieś chichoty i jakby cichutki płacz dziecka.

Młynarzowa kiwała na to głową i martwiła się, że myszy sprowadziły się do młyna i będą worki z ziarnem dziurawić, ale Margosia wcale nie chciała uwierzyć, żeby to były myszy. Czy możliwe jest, aby myszy płakały tak, jak płaczą małe dzieci? Albo żeby nuciły jakieś kołysanki? Te kołysanki to Margosia nawet potem mruzczała do snu swojej lalce, którą sobie zrobiła sama — ze szmatek i patyków. A głowę miała ta lalka z makówki.

Z tego nocnego nasłuchiwania Margosi tyle zresztą było, że zasypiała najpóźniej ze wszystkich i rano nie można było się jej dobudzić.

Ale któregoś dnia, zaraz chyba po świtaniu, obudziło Margosię nie zwykle i codzienne nawoływanie młynarzowej, tylko jakiś gwar ogromny, jakieś hałasy, jakieś trzaski i huki, jakby cały dom miał się zawalić. Zerwała się więc co prędzej i w samej koszulinie pobiegła do mamy. Tyle że tę lalkę z makówczaną głową zdążyła chwycić.

A tu znów huk słycać ogromny.

— Rety! Rety! — wołała młynarzowa. — Zapadniemy się ze wszystkim! Marna nasza dola!

— Ojej, mamó, co się dzieje, ja się boję! — Margosia rozplakała się.

— Cicho! Cicho! Uspokójcie się! — uciszał je Marcin. — Nie ma czego lamentować. Tyle że jeden słup, co był wbity w dno

rzeki, zawalił się. Licho wie dlaczego. Trzeba będzie nowy stawiać.

A że był człowiekiem dzielnym i pracowitym, jeszcze tego samego dnia pojechał do lasu i przywiózł stamtąd piękny, nowy pień drzewny.

— Ho, ho! — powiedział do żony — taki teraz ogromniasty a mocny słupek wbijemy, że go żadna siła nie ruszy!

Zwołał młynarz ludzi do pomocy, a że szybko uwinęli się z robotą, to już nazajutrz, od wczesnego rana, obracało się koło młyńskie z szumem i hukiem, popychane wartkim prądem wody.

I znów było wesoło przed młynem i gwarno. Ludzie pokrzykiwali, konie rżały, dojrzałe ziarno wysypywało się ze szmerem, a potem

11

woźnice ładowali na wozy białe wory z mąką. Margosia młynarzówna przysiadła z boku na dużym kamieniu, kołysała swoją lalkę z ma-kówczaną głową i przypatrywała się wszystkiemu. A kiedy się jej znudziło przypatrywanie, to szła sobie brzegiem rzeki aż do tego miejsca, gdzie rosły trzy rosochate wierzby, i tam się bawiła.

Ten gwar jednak nie trwał przed młynem długo. Już chyba na trzeci dzień po tym, kiedy Marcin wbił nowy słupek w dno rzeki, znów zatrzymało się wielkie koło, bo znów wielki, gruby pień

drzewa, z którego słupek był zrobiony, zwałił się do wody, jakby na pół przecięty siekierą. Dziwił się Marcin, dziwili się ludzie, którzy tego dnia z ziarnem przyjechali do młyna — jakże to się mogło stać?

Nie było jednak innej rady, jak tylko znów nowy słupek stawiać. Pojechał więc młynarz jeszcze raz do lasu i pod sam wieczór przywiózł stamtąd potężny, gładko ociosany pień.

— Takiego słupa to już żadna siła nie zwałi — powiedział — a jutro od świtania bierzemy się do roboty.

Kiedy więc nazajutrz rankiem Margosia jeszcze spała, obudziło ją walenie wielkich młotów i głosy ojca i robotników. Wbijali w piaszczyste dno rzeki ten nowy, ogromny słupek i pokrzykiwali przy robocie:

— Hooop! Hooooooooo!

Margosia, w koszulinie, jeszcze nie ubrana, zeskoczyła z posłania i podbiegła do okna. Wychyliła się, żeby popatrzeć, co się dzieje, i aż się w głos roześmiała z uciechy, że to już po zmartwieniu. Znów będzie się obracało młyńskie koło, znów będzie dosyć białej mąki. A mama z tej mąki upiecze rumiane, pachnące bułeczki! I chleb też! Będzie się ten chleb jadło z miodem i popijało mlekiem. Albo może mama ugotuje zacierkę?

Tak sobie myślała Margosia, siedząc w małym okienku, kiedy naraz zamiast wesołych nawoływań ojca i młynarczyków usłyszała gniewne i pełne rozpaczy okrzyki:

— Słup się wali! I drugi się chwieruta, jakby miał się zapaść pod wodę! Ratunku! Wali się na nas, wali się!

Przestraszona Margosia zbiegła więc szybko na dół. Wołała przy

12

tym: — Mamo! Mamo! Gdzie jesteś? — A młynarzowa stała nad wodą zapłakana i zmartwiona.

— Co teraz będzie? Co teraz będzie? — lamentowała.

— Nic nie będzie! — huknął gniewnie młynarz. — Nic nie będzie innego nad to, że zaraz ruszę do lasu po nowe słupy. Dębowe przywiozę, najmocniejsze na świecie.

I jak powiedział, tak zrobił. Tyle że zjadł misę kaszy przed podróżą, a potem z dwoma młynarczykami ruszył w drogę do dalekiej dąbrowy, gdzie — jak powiadali ludzie — rosły śmigłe dęby. A że dębina to twarde drzewo, więc zabrali z sobą wielkie, błyszczące w słońcu topory.

— Niedługo wrócimy — powiedział na pożegnanie Marcin. — Takie słupy znajdę, że ich żadna siła nie obali!

Smutno więc i cicho zrobiło się w młynie. Nie przyjeżdżały fury z worami zboża, nie hałasowali woźnice, nie turkotał młyn, a woda szumiała cichutko. Tylko nocą Margosia słyszała te dziwne odgłosy. Jakieś śmiechy, chichoty, pluskania wody,

jakby muzykę cichą a niezwykłą. Ale młynarzowa żartowała z Margosi, że jej się tylko tak zwiduje, że to myszy harczą.

— Trzeba będzie kota sprowadzić — mówiła.

A tymczasem Marcin z lasu jakoś długo tym razem nie wracał. Minał jeden dzień, drugi i trzeci, i potem dopiero, kiedy czwarty miał się ku schyłkowi, na drodze ukazał się młynarz, a cztery konie, pożyczone od sąsiadów, ciągnęły ociosany pień dębowy.

— Ale ogromniasty — dziwiła się Margosia. — Ten to się chyba, tatku, nie zawali, co?

— Pewnie że nie — mruknął młynarz.

A że był bardzo zmęczony, więc zaraz położył się do snu i dopiero na drugi dzień zabrał się do wbijania nowego słupa.

Hej, był to słup, jakiego nikt jeszcze w okolicy nie widział! Z drzewa dębowego, jak wiadomo — najmocniejszego. I ledwie został w dno rzeki głęboko wbity, zaraz na nowo ruszył młyn. Obracało się wielkie koło, z hukiem spadała srebrna woda, młynarz i jego pomocnicy zsypywali do worków białą mąkę.

13

Młynarzówna Margosia prawie do południa stała przed młynem i pomagała matce liczyć worki z mąką. Ale potem, kiedy znudziło się jej liczenie, zabrała swoją lalkę z makówczańską głową i poszła brzegiem rzeki aż do tego miejsca, gdzie rosły

trzy wierzby rosochate. Przysiadła w ich cieniu i zaczęła kołysać do snu swoją makówczan-kę. Przy tym tak śpiewała:

Luli, luli, córeczko, rzeka szumi i płynie.

Luli, luli, już zaśnij,
rybki też śpią w głębinie.

Luli, luli, dziecinko,
mama jest koło ciebie
i kołyskę z bursztynu
cichuteńko kolebie...

Tak śpiewała Margosia młynarzówna i sama nie wiedziała nawet, skąd jej się przypomniała ta śpiewanka. Zdawało się jej, że już kiedyś ją słyszała, ale taka była senna, że nie chciało się jej nad tym rozmyślać. Już zmrużyła oczy i byłaby zasnęła, kiedy naraz w tataraku nadbrzeżnym coś zaszleściło.

— Pewnie kaczka albo kurka wodna — mruknęła Margosia, ale kiedy doleciał ją jakby cichy płacz dziecka, położyła na brzegu swoją makówczankę i ostrożnie zbliżyła się do kępy tataraku. Skradała się powoli, gdy niespodziewanie w pobliżu gwałtownie plusnęła woda. Margosia odwróciła się i tyle tylko zobaczyła, że jakaś ogromniasta ryba wynurzyła łeb z rzeki, chwyciła makówczankę i razem z nią zniknęła pod wodą. — Rety! — krzyknęła Margosia i rozplakała się z żalu, bo bardzo kochała tę swoją makówczaną lalkę. — Rety!

Jeszcze tego przecież na świecie nie było, żeby ryby porywały dziewczynskie lalki. Dziw nad dziwy. — Tak sobie myślała i stała na brzegu rzeki popłakując żałośnie.

Już nie wiedziała, co ma robić z żalu za swoją makówczanką. A tak ją lubiła! I kołysała ją, i sama uszyła dla niej ze szmatek

14

koszulinę i pieluszki, a tu jakaś ryba lalusię porwała. No, patrzajcie, ludzie!

Z tego całego zmartwienia była nawet gotowa wejść do wody i gonić tę wielką rybę. Ale ledwie nogi po kostki zanurzyła, rzeka zaszumiała głośno, bardzo głośno, a fale podniosły się wysoko. Tak wysoko, że aż po wierzchołki tych trzech wierzb, co nad brzegiem rosły. A potem fale opadły i rozstały się, jakby je kto nożem przeciął. Patrzy zadziwiona Margosia, a woda dalej rozstępuje się na dwie strony i widać jakieś wrota. Ale piękne te wrota! Jejku! Przejrzyste, niby z kryształu, a zamek przy nich chyba srebrny. Przy wrotach zaś, po obu stronach, stoją wyprostowane na ogonach dwa wielgachne, wąsate sumy i mówią:

— Witaj, Margosiu!

Margosia pokłoniła im się pięknie, bo była przez mamę uczona grzeczności, ale i zdumiała się ogromnie:

— Jakże to? Jakże? Moja babcia zawsze powiadała, że dzieci i ryby głosu nie mają. Więc jakże to jest, że gadacie do mnie?

— Hehe! — zaśmiały się grubym głosem sumy. — Nic innego, tylko twoja babcia żartowała z ciebie. Przecież sama wiesz, że dzieci mają głos.

— Pewnie że mają — szepnęła Margosia.

— No więc sama widzisz, że babcia żartowała. Bo jeżeli dzieci mają głos, to ryby też mają. A teraz witaj nam jeszcze raz w rzeczonym kraju.

— O, tak grzecznie teraz ze mną rozmawiacie! A przecież sama widziałam, jak ryba, taka ogromniasta, porwała moją lalusię.

— Być może odnajdziesz swoją lalkę w podwodnej krainie — mruknął jeden z sumów.

I zaraz otworzyły się przed Margosia te kryształowe wrota, a drugi sum powiedział:

— Nie bój się, idź śmiało!

A zanim Margosia się obejrzała, wrota zatrzasnęły się za nią. Sama zaś szła teraz po suchym, białym piasku, który pokrywał dno rzeki. Woda rzeczna zatrzymała się nad nią i po bokach niby przej-

rzysta ściana, przez którą było widać pływające większe i mniejsze ryby. Margosia nawet trochę lękała się wielkich szczupaków, ale mijały ją szybko, a małe rybki zatrzymywały się za wodną ścianą i przyglądały się otwierając pyszczki z zadziwienia.

Jakże to jest, że się zrobiła ta ściana z wody? — chciała zapytać Margosia i przystanęła nawet, ale skończył się akurat ten wodny korytarz i Margosia stała już na progu wielkiej sali, gdzie ściany i strop też były z przejrzystej wody, a zamiast posadzki leżał najbielszy piasek rzeczny.

W ten tak biały, że prawie srebrny piasek, pośrodku sali wbity był wielki słup drewniany, a obok na ziemi siedziała boginka wodna. Margosia od razu poznała, że to jest boginka, gdyż miała włosy zielone jak wodorosty, a zamiast nóg rybi ogon. Przy bogince przysiadła na swoim rybim ogonku nieduża dziewczynka, trochę tylko mniejsza od Margosi, a obok w bursztynowej kołysce płakało głośno dziecko. Płakało bardzo żałośnie i trzepotało ogonkiem jak ryba w sieci.

Boginka pochyliła się nad kołyską i zaczęła nucić:

Luli, luli, córeczko, rzeka szumi i płynie. Luli, luli, już zaśnij, rybki też śpią w głębinie. Luli, luli, dziecinko, mama jest koło ciebie i kołyskę z bursztynu cichuteńko kolebie...

Margosia pomyślała sobie, że przecież zna już tę kołysankę, i w tej chwili przypomniało się jej, że przecież słyszała ją którejs nocy, kiedy nie mogła zasnąć. Chciała nawet zapytać boginkę,

czy to ona wtedy śpiewała, ale boginka spojrzała na nią zielonymi oczami i odezwała się głosem cichym jak szmer wody.

— Czy to ty jesteś córką młynarza Marcina?

16

— Ja — szepnęła trochę przestraszona Margosia. — Ja, ja tylko chciałam poszukać mojej lalki, makówczanki. Sama ją zrobiłam...

— Mamo! — krzyknęła naraz mała boginka — mammo! To już będzie moja lalka, prawda? Powiedz tej dziewczynie z ziemi, że to moja lalka.

— Nieprawda! To jest moja lalka! — krzyknęła teraz Margosia, bo zobaczyła, że mała boginka trzyma w rękach jej lalkę. Rzuciła się szybko, aby odebrać makówczankę, ale dorosła boginka skinęła tylko ręką i zaraz przed Margosia wyrosła jakby ściana z wody.

— Widzisz, że nie potrafisz odebrać tej lalki — powiedziała boginka.

— Ale to jest moja lalka — upierała się Margosia.

— Twoja lalka — zgodziła się boginka. — Ale tu, pod wodą, jest moja kraina, a twój ojciec tego nie uszanował. I już po raz trzeci wbija w sam środek mojego domu ten wstrętny słup drewniany. Wbija go w piękny biały piasek, i to akurat w tym

miejscu, gdzie zawsze stoi kołyska z moim małym dzieckiem. Widzisz, jak płacze biedne maleństwo? Dlatego też musimy wyrzucać stąd te słupy. Zaraz sama zobaczysz. Pomagają nam w tym wodnicy.

Zanim Margosia zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, boginka klasnęła w ręce i natychmiast zjawiły się przed nią dwa wielkie szczupaki. Stały na ogonach, wyprostowane jak żołnierze.

— Rozkazuję — powiedziała do nich boginka — aby wodnicy jak najszybciej zabrali się do zwalania tego słupa. Wezwijcie co najmniej czterech bardzo silnych wodników.

Szczupaki pomknęły szybko, a po chwili zjawili się wodnicy. Mieli zielone włosy i długie zielone brody, a zamiast nóg — rybie ogony. Chociaż w podwodnym domu boginki nie było wody, wodnicy poruszali się tak, jakby pływali.

— Usuńcie ten słup! — rozkazała boginka.

Kiwnęli głowami i objęli słup swymi dużymi, silnymi ramionami, a potem zaczęli wyrywać go z dna rzeki. Słup chwiał się i trzeszczał i widoczne było, że lada chwila się zawali. Z góry dobiegały jakieś żalosne i gniewne okrzyki.

2— Było, niebyło.

17

— To moja mama płacze! — krzyknęła Margosia. — To mój tatko woła pomocy! Tyle się napracował! Nie pozwolę wam

zniszczyć i tego słupa! — I Margosia rzuciła się z zaciśniętymi piąstkami na wodników.

Ale oni roześmieli się tylko i dalej próbowali obalić słup.

— Nie, nie! — krzyczała z całych sił Margosia. — Nie pozwolę wam zniszczyć młyna. Młyn jest potrzebny dla wszystkich w całej okolicy!

— Przestańcie na chwilę. — Boginka skinęła na wodników. I zwróciła się do Margosi: — Jeśli już tak bronisz tego młyna, to niech... Nie płacz. Ten słup zostanie. Ale będziesz musiała coś nam za to podarować.

— Kiedy nie wiem co — zafrasowała się Margosia. — Pewnie będziecie chcieli te niebieskie koraliki, co mi tatko przywiózł z jarmarku?

Trochę jej było żal niebieskich koralików, bo były przepiękne, jak niezabudki błękitne, ale co robić? Trzeba przecież młyn ratować przed zagładą. I już Margosia ręce do szyi podniosła, żeby zdjąć korale, kiedy boginka roześmiała się.

— Nie trzeba nam twoich koralik, Margosiu. Podaruj moim dzieciom twoją makówczaną lalkę, żebym miała je czym zabawić, kiedy będą płakały. Widzisz, jak się nią cieszą? Jak się bawią?

— Rety! — westchnęła Margosia. — Moją lalkę chcecie? — Bardzo lubiła tę swoją makówczankę. Przecież za nią poszła aż do podwodnego domu boginek. A teraz musi ją oddać? Ale

niech tam! Niech będzie za ten młyn! Za te słupy, żeby ich wodniki nie wrywały z rzeki. Więc powiedziała: — Dam wam tę moją makówczankę. Tylko żebyście jej zaraz nie popsuli. Niech już tu u was zostanie. Ale słup niech też zostanie. Nie ruszycie go, co?

— Przyrzekam ci, że słupa już nie ruszymy — powiedziała boginka. — A teraz wracaj do domu.

I z powrotem przez wodny korytarz wróciła Margosia na brzeg rzeki. Kiedy obejrzała się za siebie, nie było już kryształowych wrót ani dwóch wielkich sumów, które ich pilnowały. Rzeka płynęła spo-

18

kojnie i szumiała jak zwykle. A co z młynem? — pomyślała Margosia i pobiegła co prędzej do domu.

— Tatku — zawołała — tatku! Już się słup nie chwieje?

— Nie, córeczko! — krzyknął młynarz. — Patrz, jak pięknie obraca się koło.

— To dlatego, że podarowałam boginkom moją makówczankę — powiedziała Margosia. — I już teraz nigdy słupy nie będą się przewracały.

I chociaż może nie wszyscy chcieli uwierzyć w Margosine opowiadanie o wodnych boginkach, to jednak od tego czasu, na

pamiętkę owych wbijanych przez Marcina słupów, rzekę zaczęli ludzie nazywać Słupią.

A Margosia zrobiła sobie nową makówczankę. Bardzo ładną, taką samą jak tamta, którą podarowała małej bogince.

•

i

,

-

O cudnej wierzbinnie

to by tam policzył, ile to lat minęło od owych czasów, kiedy przy drodze, tej, co wiodła hen, na Spisz i Orawę, wyrosła owa wierz-binka. Ludzie dziwili się, skąd się wzięła, bo w tamtych stronach była to drzewina nieczęsto spotykana. Myśleli, że może wysiał ją tu wiatr, co wiał z daleka.

Młodziutka była i jeszcze cienka, kiedy to Klimek od Pakulnych był jeszcze małym chłopakiem i pomagał przy pasieniu owiec. Lubił on wtedy usiąść przy niej i na fujarce przygrywać. A przygrywał tak pięknie, że ludzie, co drogą przechodzili, przystawali, żeby posłuchać. Tak ten Klimek grał. Chyba i ta wierzba, co osłaniała go swoim cieniem, też była w tym graniu zasłuchana, bo gałązki wtedy zwieszała ku niemu, a jej liście szeleściły jakby do wtóru.

Tak to było, kiedy Klimuś od Pakulnych jeszcze owce pasął. A potem, kiedy już wyrósł i po ojcu musiał wziąć gospodarkę, to już pod wierzbiną tylko wtedy siadywał, kiedy na Spisz szedł, i w jej cieniu odpoczywał.

A wierzbina rosła coraz cudniejsza. Listki miała pięknie zielone a delikatne, a kiedy bazie na niej zakwitły — to wyglądały jak złote. I ludzie różni, z okolicy i z daleka, którzy tą drogą przechodzili

20

albo jechali na furkach, też się nie mogli nachwalić jej urody. Ci zaś ze Spiszą to nawet nazywali ją po swojemu „princeza z wirby”, co miało znaczyć: wierzbowa księżniczka.

Taka ona była.

Aż jednego dnia, kiedy Klimek na jarmark się wybrał i na gościniec właśnie wyszedł, zobaczył, że jacyś ludzie stoją przy tej jego wierzbinie i o czymś rozprawiają. Rękawy koszul mają

zawinięte, jakby się zabierali do jakiejś roboty, a w rękach trzymają siekiery. Przyskoczył do nich Klimek i pyta:

— A co wy tu robicie?

Wtedy oni powiadają, że wierzbine mają zrąbać.

— Wierzbine rąbać? — Klimek aż pobladł, aż mu wargi zaczęły drżeć, a serce łomotać. — Jakże ją rąbać? Jakże to tak może być?

— Takie jest rozkazanie — odpowiedzieli i zaczęli Klimkowi rozpowiadać, że to sam starosta tak rozkazał. Aby gościniec był szerszy...

— Gościniec szerszy? — krzyknął Klimek. Rozpacz go ogarnęła, bo tak tej wierzby pożałował, i zawołał mocnym głosem, że rąbać nie da!

— Jakże to? — spytali ci, co trzymali siekiery.

— A także to! — zakrzyknął na to Klimek, ciupagę, co ją trzymał w ręce, odrzucił i rękawy od koszuli zawinał. Potem popatrzał po tych, co stali wokół drzewa, i krok w ich stronę postąpił. — Odsuńcie się, chłopaki, nie będziecie tej wierzbiny rąbali. Jakem Klimek od Pakulnych, tak wam to powiadam!...

Więc tamci na to zaczęli wołać:

— Coś ty, Klimek? Rozkazanie jest takie. Moźni panowie i kupcy, co tędy przejeżdżają, zażądali, żeby droga była szersza...

Roześmiał się na to Klimek.

— A czemuż nie mają mieć szerszej? Niechże sobie mają.
Tylko bez krzywdy mojej wierzbinki. Ja jej skrzywdzić nie dam!
— Tak powiedział Klimek, a gniewny był i rozżalony. Potem do
drzewiny podszedł, objął pień mocno ramionami i zawołał: —
Hej! Mojaś ty złota! Mojaś ty zielona! Poratuję ja ciebie!

21

Wszyscy więc ci, co szli drogą, przystawali teraz wokoło, aż
tłum się zebrał ogromny, i czekali, co też się dalej stanie.

A stało się tak, że jak Klimek siły w sobie zebrał, to trzymając w
ramionach wierzbinę, z korzeniami z ziemi ją wyciągnął. Że zaś
nieduża to jeszcze była drzewinka, to tak ją trzymał, jakby
dziewczynę w tańcu.

— To ci dopiero! — zawołali ludzie — to ci dopiero! —
dziwowali się tak i z tchem w piersiach zapartym czekali teraz,
co dalej będzie. A niektórzy pytali: — Jakże, Klimek? Co teraz
z drzewiną poczniesz?

— Ano zobaczcie. — Klimek roześmiał się. — Na drodze jej
tu nie zostawię!...

Odetchnął głęboko, spojrział po ziemi wokoło i po błękitnym
niebie, gdzie płynęły białe obłoczki, jakby coś zamyślając, a
liście wierzbinki, którą trzymał, zaszumiały leciutko, chociaż i
wiatru nie było. A ten szum taki był, jakby to był szept. A zaraz
po tym hen, od strony gór rozległ się turkot, jakby to wóz jechał
po kamienistej drodze.

— Ktoś-ci jedzie — zaczęli wołać wszyscy i patrzeli w tamtą stronę. Oczy rękami przesłaniali, bo słońce mocno świeciło i trudno było coś dojrzeć.

A po chwili ten turkot i stukot końskich kopyt słychać było coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie przed tymi, co tam stali, stanęła furka. Niby zwyczajna, góralska, ale piękna, a konik do niej zaprzężony zarżał wesoło i zatupał kopytami. Wszyscy zaś patrzeli jak zaczarowani, co też dalej się zdarzy; dziwne to było, że owa furka, piękna, choć zwykła góralska, była pusta i nikt koniem złotogniadym nie powoził. Wtedy Klimek zawołał tylko:

— Prr, prrr, gniady!

— No, i patrzcie tylko — zaczęli szeptać ludzie — widzicie? Widzicie, co się dzieje?

Ano było na co patrzeć, jak to Klimek ze swoją wierzbiną, co ją w ramionach trzymał, wsiadł na furkę i tylko zawołał:

— Wista wio!

22

I pojechali!

Ale na początku ludzie nie wiedzieli dokąd. Dopiero później, pod wieczór, po okolicy rozeszła się wieść, że Klimek zawiózł wierzbinę do swojego obejścia i tam zasadził przed chatą, nie opodal chruścia-nego płotu.

Dziwili się sąsiedzi i kiwali głowami.

— A to dopiero! Rozum się Klimkowi pomieszał czy co?
Pewnikiem uschnie ta drzewina — mówili.

Ale wierzbinką, jakby na złość tym gadaniom, rosła pięknie.
Matula Klimka to nie mogła się nacieszyć jej widokiem.

— Serce się raduje — mówiła — kiedy na nią popatrzę.
Urodziwa jak królewna.

Niektórzy sąsiedzi — starzy gazdowie i gaździny — to teraz
nawet kiwali głowami ze zrozumieniem: ano pewnie, pięknie
jest, kiedy taka drzewina przed chatą stoi. Ale dziewczyny to
przez zazdrość, że Klimek do żadnej nie chodzi i z jarmarku ani
piernika, ni koralu nie przywiezie, dogadywały mu:

— Chustkę jej kup, żeby się okryła — tak się naśmiewały —
albo na tańce ją zabierz...

Tyle że Klimek nic sobie z tego gadania nie robił.

— A niech tam, niech tam! Młode są, to i plotą byle co...

I szedł sobie przysiąść opodal drzewiny, a czasem i na fujarce
zagrał.

Aż wreszcie, a stało się to któregoś ranka, kiedy przez białe
mgły, co się od gór słały, przedarło się słońce i rozjaśniło całą
dolinę, a Klimek akurat z chaty wyszedł, wtedy mu się w tym
blasku wierzbina wydała najcudniejsza. Jej cienkie gałązki
drżały, a listki mieniły się ni to złotem, ni to srebrem. Podszedł

do niej i zaśpiewał mocnym głosem, co się niósł aż do
wierchów:

Hej, wierzbino, wierzbino, ty moja drzewino! Będę ja przy
tobie, choć lata przeminą.

23

A potem z tego zachwycenia objął jej pień i pocałował.

Wtedy zadrżały gałązki wierzby, zaszeleściły listki, gałązki
splotły się w warkocze i oto stała przed nim dziewczyna
najpiękniejsza na całutkim Podhalu.

Jakże to? — chciał spytać, ale zabrakło mu tchu ze zdziwienia i
słowa nie mógł powiedzieć, a ona roześmiała się i wyciągnęła
do niego ręce.

— Ano odczarowałeś mnie, Klimuś — zawołała. Potem zaś
spytała: — A będziesz chciał mnie za żonę?

— Jakżeby nie! — krzyknął na to Klimek. — O raju! Jakżeby
nie!

I było weselisko nad weseliskami, a granie i śpiewanie aż się do
Orawy niosło.

Szklana góra

awno to było i już nikt nie pamięta, kiedy „ to się stało i ile lat od tego czasu minęło. Ale było tak, że gdzieś daleko, daleko, za dwudziestoma górami, za czterdziestoma rzekami, wznosiła się aż pod niebo góra nad górami wysoka. Nikt nie wiedział, w której stronie jej szukać, tyle tylko, że jak powiadali, miała być cała ze szkła, a na jej szczycie stał pałac szklany. A w tym pałacu była uwięziona królowna. Zaczarowana królowna.

Wśród różnych wspaniałych młodzieńców oraz bardzo szlachetnych rycerzy wielu znalazło się takich, którzy chcieli uwolnić królownę, zamkniętą w szklanych ścianach. Ale przedtem trzeba było dostać się na ową szklaną górę. Na sam szczyt!

Wyruszyli więc, pełni zapału, z ochotą i nadzieją w sercu. Jechali na swoich pięknych koniach drogami wiodącymi przez pola i lasy, górzyste okolice i moczary, mijali wioski i miasta, przechodzili przez mosty albo przepływali rzeki.

Tacy to byli ci dzielni rycerze i młodzieńcy, którzy nie bali się przygody. Jednak gdy pod koniec podróży docierali do podnóża szklanej góry, dopiero teraz widzieli, że czeka ich jeszcze to, co najtrudniejsze. Teraz musieli dostać się na ukryty w chmurach wierz-

25

chołek. Ale jak tego dokonać? Zbocza góry były strome i gładkie. Pewnie, że byli tacy, którzy próbowali wejść, ale ich nogi się ześlizgiwały, a ręce nie miały się czego chwycić.

Na próżno też i wspaniali konni rycerze próbowali na swoich rumakach wjechać na górskie zbocze. Końskie podkowy tylko brzęczały srebrzyście, tylko krzesaly iskry, a konie zsuwały się i często ginęły. A razem z nimi i ci śmiali jeźdźcy.

Tak to było.

Nie brakowało też wśród przybywających pod górę junaków, jak powiadano, i takich, którzy próbowali wyrąbać schody w szklanym zboczu. Ale ani miecze, ani toporki nie mogły go naruszyć.

Takie to były opowieści o szklanej górze i nieszczęśliwej uwięzionej królownie. Ludzie słuchali i kiwali głowami: no, patrzcie, patrzcie! Coś takiego!

Aż kiedyś, w małej wiosce gdzieś opodal Sącza, znalazł się chłopak, który kiedy posłyszał o tej szklanej górze, od razu oświadczył, że się tam wybierze i królownę uwolni.

— Jeszcze nigdy królewny nie widziałem, to ją sobie zobaczę
— powiedział.

I już nazajutrz, ledwie słońce wstało, był gotów do drogi.
Pokłonił się ojcu, uściskał matulę i dwóch braci, co w chacie
zostawali, wziął z sobą bochenek chleba i oszczypek owczego
sera i ruszył przed siebie. Szedł rażno i nawet sobie
przyśpiewywał, a po drodze pytał, któredy to ma iść, żeby trafić
tam, gdzie szklana góra się wznosi. Ale nikt nie wiedział. Aż
dopiero sroka-gaduła, co siedziała na jakimś płocie, odezwała
się do niego:

Pytasz wszystkich o tą drogą,

ale ja ci dopomogą,

idź więc przed siebie;

za polem, za rzeką

dąbniak niedaleko,

za dąbniakiem bór sosnowy,

szukaj w borze mądrej sowy.

26

Podziękował więc sroce, poczęstował ją kawałkiem oszczyпка i
ruszył dalej. Według tego wskazania.

Szedł gościńcem i polnymi drogami, minął miasto nad rzeką i wtedy zobaczył w oddali ciemniejszy las. A był to ten dębniak, do którego miał dojść. Pięknie tu było i chłodno w cieniu drzew. Chłopak, już zmęczony wędrówką, miałby ochotę tu odpocząć, ale pamiętał, że sroka poradziła mu, aby szukał sosnowego lasu. Zmrok już zapadł na dobre, kiedy tam dotarł. Pod stopami czuł miękki mech, pachniało żywicą, jałowce czepiały się jego sukmany, ptaki świergo-liły cicho przed zaśnięciem. Stąpił powoli i rozglądał się, aż wreszcie posłyszał ciche nawoływanie — jakby pohukiwanie, jakby ktoś szeptał jego imię:

— Ładyś! Hej, Ładyś!...

Spojrzał w tamtą stronę i wtedy dostrzegł na gałęzi sosny sowę. Była duża i napuszona i mrugała żółtymi, wielkimi oczami. Chłopak pokłonił się jej grzecznie, bo wydało mu się, że tak się należy, a ona otworzyła dziób i powiedziała:

Wądowniku zmęczony, spocznij na mchu zielonym, rankiem ruszysz w dalszą drogę, a w drodze stać się może, że dobroć za dobroć otrzymasz — przyjaciel ci dopomoże.

Podziękował Ładyś puchatej, mądrej sowie i ułożył się do snu na mchu miękkim, a śniły mu się tylko obłoki, które skrywały górę. Jakże dam im radę? — pytał we śnie, ale rankiem obudził się rześki i pełen nadziei i ruszył w dalszą drogę przez las. Słońce przedzierało się przez gałęzie sosen, słychać było ptasie głosy, dziecięcy pukający wytrwale, odzywała się kukułka, a wiewiórki przyglądały mu się, zaciekawione. — Dokąd

biegniesz? — zapytała któraś. Ale on tylko machnął ręką, bo się spieszył, i biegł lekko po zielonym mchu, przedzierał się przez zarośla, omijał powalone pnie; kiedy naraz

27

usłyszał jakieś kwilenie, jakby dziecko zapłakało, jakby kocię za-miauczało. Przystanął, posłuchał i pobiegł w tamtą stronę.

— Oj, niebożę ty biedne! — krzyknął, bo zobaczył uwięzione w sidłach jakieś małe stworzenie. Kudłate to było, szarpało się i piszczało. Wydało mu się podobne do kociaka.

Uwolnił je i trzymał w dłoni, kiedy usłyszał szelest i trzask gałęzi nad głową. Z konarów rozrośniętego drzewa zsunął się piękny, okazały ryś.

— Nie obawiaj się mnie — powiedział — i dzięki niech ci będą za to, że ocaliłeś moje dziecko. Dzięki ci za to, że zboczyłeś ze swej drogi, aby je ratować... A dokąd tak wędrujesz?

— Chcę znaleźć szklaną górę — szepnął Ładyś — chciałbym...

— Wiem, wiem, masz zamiar dostać się na jej szczyt... A czy wiesz, że jeszcze nikomu to sienie udało? Aleja ci pomożę. Idź teraz przed siebie, a gdy miniesz trzy srebrne świerki, skreć w lewo. I znów idź przed siebie. A kiedy będziesz pod samą górą, przywołaj mnie. Wołaj głośno, jak najgłośniej. A kiedy echo ci odpowie, to będzie znak, że usłyszałem twój głos. Wtedy czekaj na mnie, ja cię nie zawiodę.

Długa to była jeszcze ta dalsza droga — trzy dni wędrował chłopiec, zanim stanął pod zaklętą górą.

Była szklana, była gładka i połyskująca, a tak wysoka, że wierzchołek ginął hen, w górze, przesłonięty chmurami. A wokoło leżały potrzaskane miecze i poszczerbione topory — bo widać nic się tej góry nie imało. Leżały siodła i czapraki koni, które tu padły.

Ładyś aż się zląkł — reta! Tylu próbowało i nie dali rady, więc jakże on poradzi? Jakże to będzie? Ale zaraz przypomniał sobie, co mu ryś przykazał, więc przyłożył dłonie do ust i huknął donośnie:

— Hej! Hej! A ino tu czekam na ciebie!...

Począł potem chwilę, aż echo powtórzyło jego wołanie. A co dalej? Stał tak w niepewności, kiedy naraz zobaczył nadbiegającego rysia.

— Oto jestem — powiedział ryś.

28

Dobroć za dobroć otrzymasz — przyjaciel ci dopomoże.

— Oddaję ci więc moje pazury, abys mógł wejść na tę górę.

— Jakże to? — spytał Ładyś, ale w tejże samej chwili zobaczył, że jego ręce i nogi mają rysie pazury! — Jakże to? — powtórzył.

Ale ryś dodał jeszcze:

— O nic więcej nie pytaj, ruszaj śmiało. Jedną tylko dodam ci radę: pamiętaj, że tylko wiatr i słońce ci pomogą! Pamiętaj!

— Dzięki! Dzięki! — zawołał teraz chłopak i skoczył na zbocze góry.

Sam nie wiedział, jak to się stało, że na tych rysich pazurach tak szybko wdarł się prawie na sam wierzchołek. Ale już dalej nie mógł sobie poradzić, bo wokoło podejścia na szczyt leżały wielkie, gęste chmury, które wszystko przesłaniały. Przestraszył się tych czarnych chmur. Jakże przebić się przez nie? Jakże to teraz będzie? Spojrzał na swoje ręce i nogi i zobaczył, że zniknęły z nich rysie pazury. Jakże to będzie? Zaraz, ale przecież ryś coś mu przykazywał. Jak to było? O wietrze przecież mówił! Tak, o wietrze.

— Pomóż mi, wichrze! — zawołał z całych sił, ile tchu w piersiach i czekał pełen niepokoju.

Ale stało się według słów rysia. Wicher teraz zaczął dąć z okrutną siłą. Wył i gwizdał, rozdzierał czarne chmury i przeganiał je na cztery strony świata.

Aż wreszcie rozwiął je i unióś chłopca aż pod ściany pałacu, który był też szklany. Wejścia do niego żadnego nie było i tylko przez te przejrzyste ściany dojrzał królową, stojącą bez ruchu.

Na próżno chłopak uderzał w tę szklaną przegrodę, na próżno wołał:

— Królewno! Królewno!

Ani nie odpowiedziała, ani się nie poruszyła. Spojrzał więc z rozpaczą na niebo, gdzie wiatr przeganiał chmury. I tylko chwilami przeblyskiwało przez nie słońce. Wtedy przypomniał sobie, co mu rzekł ryś: że jeszcze mu pomogą wiatr i słońce.

29

— Słońce! Słońce! — zawołał więc i wyciągnął ręce w tę stronę, gdzie chwilami rozjaśniał szarość dnia złoty błysk.

I stało się tak, że wiatr zaczął teraz dąć z jeszcze większą siłą. Wył i gwizdał, i rozdzierał chmury, przeganiał je na cztery strony świata, aby mogło zabłysnąć słońce, aby jego gorące promienie padły na szklany pałac.

Nie, nie szklany, tylko lodowy. Lodowy był, bo w słońcu roztopiały się jego ściany i spływały małymi strumykami, a potem większymi. Zamknięta we wnętrzu królewna ożyła w ciepłe słonecznym i wyszła, mokra od spływającej wody i jeszcze zziębnięta. Wyciągnęła ręce i zawołała:

— Czekałam na ciebie! Na słońce i na ciebie!

A potem stopiła się cała góra, bo też była lodowa, a woda, co z niej spływała, zmieniła się w rzekę, która popłynęła aż do morza.



-,t и'

Czterej bracia
ył sobie król.

Bogaty, jak to królowie bywają bogaci. W jego kraju wszystko było piękne: i pola złotego zboża, i lasy, i rzeki, w których pełno było ryb lśniących srebrzyście, i sady pełne owoców, i ogrody, gdzie rosły cieniste drzewa i pachnące kwiaty.

Miał też ten król czterech synów.

Najstarszy był bardzo wysoki, drugi był niebieskooki, trzeci był dzielny, ale uparty, a najlepsze serce to miał ten czwarty, najmłodszy. Pewnego dnia król, w złotej koronie i w czerwonym płaszczu, zasiadł na swoim złotym tronie i tak powiedział:

— Moi kochani synowie! Czas już nadszedł, żebyście się pożenili. Daję więc wam cztery łuki i cztery strzały, weźcie je. I pójdziecie teraz na zamkową wieżę, rozejrzycie się i niech każdy z was wypuści ze swego łuku strzałę w inną stronę świata. A tam gdzie strzała upadnie, tam każdy z was znajdzie sobie żonę.

Słońce świeciło wiosennym blaskiem, niebo było czyste i błękitne, kiedy wszyscy czterej królewicze stanęli na wysokiej wieży i naciągali cięciwy łuków, a cztery strzały pomknęły w świat. Potem czterej królewicze dosiedli swoich pięknych koni i każdy z nich pojechał w tę stronę, gdzie pomknęła strzała.

31

Jechali tak trzy dni i trzy noce, aż wreszcie pierwszy królewicz, ten najstarszy, trafił do ogrodu, gdzie pośrodku kwitnących

kwiatów czekała na niego piękna panna, która trzymała strzałę w ręku. To ona miała być jego żoną.

Drugi z braci dojechał aż nad morski brzeg, gdzie znalazł księżniczkę z zamorskich stron.

Trzeci królewicz, ten uparty, przejechał chyba pół świata. Pędził przez góry i doliny, przez lasy i pusytnie, przepływał szerokie rzeki i dalekie oceany. Nigdzie nie spotkał tej, której szukał, aż wreszcie któregoś dnia dostrzegł strzałę, która tkwiła w głębokim śniegu, na zboczu wysokich skał. Tam czekała na niego jedyna córka króla gór.

Ale czwarty królewicz nie mógł odnaleźć swojej strzały. Wiedział tylko, że wtedy, gdy naciągnął cięciwę, nagle zerwał się wiatr i poniósł strzałę hen, hen, daleko, nie wiadomo dokąd...

Wędrował więc wytrwale przez wiele, wiele dni i już stracił nadzieję, że odnajdzie strzałę i czekającą na niego dziewczynę. Smutny i zmęczony, usiadł w jakimś zagajniku, wśród jaśminowych krzewów, napił się wody ze strumyka, przepływającego tamtędy, i z rozpaczą w sercu rozmyślał, jakże to będzie, kiedy wróci do kraju i stanie przed swoim królewskim ojcem sam, bez tej, która powinna zostać jego żoną. Jakże to będzie?... I westchnął żałośnie.

Naraz zaświergotał ptak, który usiadł na gałęzi pobliskiego drzewa. Królewicz podniósł głowę i spojrzał w tamtą stronę, a ptak, piękny, niebieskopióry, zeskoczył niżej i odezwał się do niego:

— Nie martw się, królewiczu! Idź teraz wzdłuż tego strumyka, aż znajdziesz trzy wierzby, rosnące nad nim. Zatrzymaj się i posłuchaj ich szumu...

Powędrował więc królewicz dalej, znalazł trzy wierzby płaczące, i tyle zrozumiał z ich szumu, że ma pójść teraz najpierw w prawo, potem w lewo, a gdy minie zwalone drzewo, wtedy ujrzy staw z błękitną wodą, gdzie lilie wodne rosną.

— Tam twoje szczęście, królewiczu — zaszumiały na pożegnanie.

32

On zaś, idąc wskazaną drogą, stanął wreszcie nad stawem. Wokoło rosło gęste sitowie, złote ważki unosiły się nad wodą.

Rozejrzał się królewicz za tą swoją strzałą zagubioną nie wiadomo gdzie, kiedy naraz dostrzegł na szerokim liściu, co rósł w wodzie, zieloną żabkę. Patrzyła na niego złotymi oczami i na głowie miała złotą koronę. A obok tej żabki zielonej tkwiła w zielonym sitowiu strzała. Ta strzała, której tak szukał.

— Witaj, królewiczu — odezwała się żabka głosem, który dźwięczał jak srebrny dzwoneczek — witaj! Oto twoja strzała! I oto ja: twoja narzeczona...

Żabka? Narzeczona?

— Zabierz mnie z sobą — powiedziała — przy mnie spadła twoja strzała. Ja jestem tobie przeznaczona.

Zasmucił się królewicz. Żabka? Czy ma się ożenić z żabką? Nawet jeśli to jest żabka w koronie... Co powie król ojciec? Co powiedzą dworzanie? Co powie cały świat? Ale żabka patrzyła na niego tak żałośnie, i tak ślicznie i smutno brzmiał jej głos, który nie był żabim głosem. Nie wiedział, co ma począć, ale kiedy zobaczył łzy spływające z jej oczu, poczuł ogromną litość. Był przecież czwartym królewiczem, tym, który miał najlepsze serce. Żal mu się jej zrobiło i zabrał ją z zielonego liścia. Owinął w jedwabną chustkę i ruszył w powrotną drogę.

Tymczasem wracali już do ojcowskiego zamku trzej starsi królewicze z trzema pięknymi pannami. Wrócił pierwszy — ten wysoki, wrócił drugi — niebieskooki i ten trzeci — ten uparty, tylko jeszcze nie wrócił ten czwarty... Król czekał zachmurzony i niespokojny, czekali dworzanie, szeptali po kątach i już gońcy mieli wyruszyć, żeby szukać czwartego królewicza, kiedy wreszcie, późnym wieczorem, przybył. Wrócił późnym wieczorem, gdy mrok już zapadł, wjechał nie paradną bramą, ale boczną furtą, i nikt go wtedy nie widział. Potem szybko, chyłkiem, przez kręte korytarze dopadł do swoich komnat i zamknął się w nich. Oddalił służbę, która czekała, chcąc mu posłużyć; wymówił się zmęczeniem, bo podróż odbył daleką... A zaś panna, którą ze sobą przywiózł? — Udawał, że nie słyszy tego

pytania, i zapowiedział, żeby go nie budzić, dopóki sam swojego pacholika nie wezwie; wtedy może będzie chciał wstać i pojawić się na dworze... Tak odpowiadał, ale o pannie ciągle ani słowa.

Nazajutrz więc od samego rana zaczęto szeptać na dworze, że tajemnicza to sprawa, że być może panna jest nieładna, jak przypuszczali jedni, a inni znów mówili, że być może jest niezwykle piękna, i w ogóle nikt nic nie wiedział. A królewicz przebywał w swojej komnacie i unikał widzenia się z kimkolwiek.

Tak minął ten pierwszy dzień po powrocie. Ale następnego dnia król rozkazał: niech za dwa dni stawia się przed nim jego synowie ze swoimi pannami. I jeszcze zapowiedział, że w tymże dniu ma się odbyć wspaniała zabawa, a także i uczta, na którą to ucztę kucharze mają przygotować najsmakowitsze potrawy i kremy oraz ciasta. Do tego wszystkie sale mają być jak najjaśniej oświetlone i ma grać najpiękniejsza muzyka.

Teraz dopiero ruch się zaczął na zamku! A przede wszystkim w tych pokojach, gdzie zamieszkały przywiezione panny. To znaczy w pokojach trzech panien. Bo co ma być z tą czwartą, której nikt na dworze nie widział, to inna historia. Tymczasem trzy przybyłe ze świata panny chciały wystąpić w przepięknych strojach. Pierwsza panna, ta, która miała zostać żoną najstarszego królewicza, zapragnęła mieć suknię czerwoną jak róża. Z najcieńszego aksamitu podobnego do płatków różanych. Druga zapragnęła mieć suknię ciemnoniebieską jak morze,

trzecia zaś — srebrzystą jak skały posypane śniegiem w kraju, z którego pochodziła. Zaczęła się więc krzątania: krawcy krajali tkaniny wielkimi nożycami, hafciarki pracowały cały dzień i całą noc, aby ozdobić je haftem, szewcy brali miarę z panińskich nóżek, żeby uszyć piękne pantofelki — z atłasu najprawdziwszego, jedwabnego.

Przy tym fryzjerzy też mieli sporo roboty — bo przecież wszystkie panny chciały być tak uczesane, aby cały dwór je podziwiał. Jedna chciała mieć loki, druga chciała mieć warkocze, a ta trzecia — jakieś dziwne fioki.

Tylko w komnatach przeznaczonych dla czwartej panińki, dla

34

tej, którą przywiózł najmłodszy królewicz, było cicho. Panny dworskie podchodziły pod nie ukradkiem, na palcach i nasłuchiwały pilnie, ale nic nie mogły usłyszeć. Tylko jednej udało się usłyszeć jakby szepty czy może westchnienia. Ale tylko tyle...

To prawda, że za tymi drzwiami nikt nie opowiadał, jak piękna ma być suknia, nikt nie mówił o niezwykłych barwach czy świetności tkaniny. Nie było tam światła i wesołej krzątania. Tylko nieliczne świece migotały w świeczniku i wtedy można było dojrzeć, że na srebrnej misce, która stoi na stole, siedzi mała zielona żabka. A obok najmłodszy królewicz.

Zielona żabka patrzyła na niego złotymi oczami tak żałośnie, że serce mu się z żalu ściskało. Jakże to będzie? Jakże stanie przed swoim królewskim ojcem, a cały dwór będzie na niego patrzył?! Na niego i na nią! A przecież strzała do niej go zaprowadziła!... A! Niech będzie, co ma być.

Nazajutrz, według królewskiego rozkazania, w samo południe stu trębaczy zatrąbiło na znak, że oto król zasiadł na tronie i czeka na swych synów i ich narzeczone. Stanęli więc na progu ogromnej sali, a od progu aż do tronu rozpościerał się szeroki chodnik. Po nim więc mieli przejść, podczas kiedy z obu stron stali tłumnie goście i dworzanie.

— Idą już, idą — rozległ się szmer głosów.

Pierwszy szedł najstarszy królewski syn — piękny i wysoki, a przy nim stąpała z dumnie podniesioną głową dziewczyna w purpurowej sukni. Drugi brat prowadził swoją dziewczynę w sukni ciemnobłękitnej jak morskie fale. A trzeci brat — ten uparty — trzymał za rękę dziewczynę z dalekiej północy, a jej suknia połyskiwała srebrem.

Tak się wszyscy zapatrzyli na te piękne i niezwykle strojne narzeczone królewskich synów, że nie zauważyli, że hen, tam w oddali za nimi idzie wolnym krokiem czwarty, najmłodszy królewicz. A kiedy w jakiś czas potem znów spojrzeli w jego stronę, z największym zdziwieniem spostrzegli, że idzie sam, że nie widać przy nim żadnej dziewczyny. Żadnej!

Zaraz więc rozeszły się szepty:

— Czy możliwe? Czy aby naprawdę nie dostrzegacie przy nim nikogo? Jak to się stało? Przecież wszystkim było wiadomo, że i z jego łuku strzała pomknęła w daleki świat, a on pobiegł tej strzały szukać. Czemu więc idzie samotny? Gdzież jest owa panna, owa przeznaczona mu narzeczona? Gdzież ona jest?

Ale kiedy, idąc wolnym krokiem, królewicz zbliżył się do oczekujących gości i dworzan, kiedy coraz bliżej był królewskiego tronu, wtedy poniektórzy dostrzegli, że królewicz idzie co prawda samotnie, ale trzyma coś w obu dłoniach. Ależ tak! Ależ tak! Oto królewicz niesie zieloną, jedwabną, haftowaną srebrem poduszkę, a na tej poduszce — czy to możliwe? — na tej poduszce siedzi nieduża, zielona żabka! Niektórzy też dostrzegli, że ma złotą koronę!

— Czy to możliwe? Co to znaczy? Dlaczego niesie tę poduszkę? — Szepty stawały się coraz głośniejsze. Co to będzie, kiedy najmłodszy królewicz zbliży się do ojca?

Szmer rozmów, szmer tych pytań był coraz silniejszy. I wtedy — ale w tym rozgwarze nikt tego nie dosłyszał — żabka spojrzała na królewicza i powiedziała:

— Jeśli mnie polubiłeś, jeśli się mnie nie wstydzisz, to mnie pocałuj. Teraz, przy tych wszystkich ludziach.

Królewicz przystanął i ucichły nagle szepty i szmery, a wszyscy patrzeli na niego. W tej ciszy i czekaniu na to, co dalej będzie,

nawet sam król już miał zamiar wstać z tronu, żeby się przekonać, co się dzieje.

A królewicz?

Jeszcze raz spojrział na zieloną żabkę, a potem... Potem pochylił głowę i pocałował ją.

Nie, czy to możliwe? Przecież teraz wszyscy widzieli, że oto w tej chwili stoi obok niego najpiękniejsza dziewczyna, w zielonej sukience połyskującej kroplami rosy, a może diamentami? I że na głowie ma złotą koronę, a w dłoni trzyma strzałę z łuku królewicza.

A ona? Odwróciła twarz w stronę królewicza i szepnęła:

36

— Oto jestem. To ja. Odczarowałeś mnie i będziemy bardzo szczęśliwi.

Królewicz zatrzymał się i aż mu tchu zabrakło ze zdumienia. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. A ta piękna dziewczyna, która stała w tej chwili obok niego, uśmiechnęła się i powtórzyła:

— Odczarowałeś mnie! Odczarowałeś mnie, bo byłeś dla mnie dobry! I czy będziesz mnie teraz kochał?

— Tak! Tak! Sto razy tak! — zawołał na to królewicz.

Ujął jej rękę i szli teraz obydwójce uśmiechnięci i szczęśliwi, szli po czerwonym chodniku aż do tronu, gdzie czekał na nich król. Na sali zaś rozległ się szmer głosów. Jakże to? Przecież wszyscy widzieli, że po tym samym chodniku kroczył czwarty królewicz sam, sa-miuteńki.

— Nie widzieliście? — pytali jedni. Ale inni zaraz ich wyśmieli:

— Zdawało się wam! Nic innego, tylko zdawało się.

— Ale przecież niósł coś na rękę!

— Nic nie niósł! To ona, ta piękna dziewczyna, niesie wiązanek białych kwiatów, które rosną na powierzchni wód, a zwą się nenufa-ry. A wam nie wiadomo co się wydawało!

Tak szeptali dworzanie. A ona szła przy królewiczu, na jej głowie zaś połyskiwała maleńka korona, jakby z kropelek rosy. I kiedy już oboje z królewiczem podeszli do tronu, podała te kwiaty królowi.

— Dzięki — powiedział król i ucałował ją. A dworzanie zaczęli wołać:

— Niech żyje król! Niech żyje!

I potem odbyły się cztery wspaniałe weseliska. Ale wszyscy mówili, że najwspanialsze było wesele czwartego królewicza. I że panna młoda była najśliczniejsza.

Pajęczno

iedyś, przed wielu, wielu laty w pewnej wiosce niedaleko Głubczyc, mieszkał w rodzinnej chacie chłopak młody i obrotny, a zwał się Jasiek. Taki on był, ten Jasiek, że za nic w chacie nie chciał pozostać, póki przedtem świata nie zobaczy, odwagą się nie wykaże i nie wsławi jakimś szlachetnym czynem. Taki był ten Jasiek od Oldrasiów, bo tak się zwali jego rodzice.

A więc któregoś dnia, w mglisty jesienny poranek, wyruszył w drogę, aby ten świat zobaczyć. W płóciennej torbie zawieszzonej na ramieniu miał chleb świeży i smakowity, upieczony przez matulę, i kawałek sera owczego. Przyśpiewywał sobie wesoło i

tak wędrując mijał wioski i miasteczka, nocował w stogach albo w stodołach na świeżym sianie, gościnni gospodarze częstowali go mlekiem albo żurem zabielanym, i dobrze mu się działało. Rozglądał się też ciekawie po drodze i rozpytywał, czy aby gdzieś się krzywda jakaś komu nie dzieje, czy może czarownica ludziom dokucza albo smok okrutny gdzieś się przyczaił. Także i zbójców był gotów przegonić.

Wędrował tak i wędrował przez wiele dni i przemierzył wiele dróg, aż któregoś dnia trafił do miasta, w którym — mimo że naokoło świeciło złote jesienne słońce, mimo że w jego blasku tonęły pola, łąki i lasy i połyskiwały wody rzek — w mieście tym, pano-

38

wał szary półmrok. Kiedy podniósł wzrok, widział, że niebo nad tym miastem zasnute jest szarością i że nie dochodzi tu słoneczne światło. Szare były ulice i domy, szare drzewa i trawa. I ludzie byli jacyś zmizerowani, i twarze mieli jakby pokryte szarością. Snuli się ulicami wychudzeni, ledwie powłócząc nogami, smutni i milczący.

Wszyscy oni spoglądali na Jaśka żałośnie, a niektórzy nawet przystawali, jakby chcieli coś mu powiedzieć, ale kiedy i on się zatrzymywał, nie odpowiadali na jego pytania, tylko odchodzili bez słowa.

Wreszcie stanął przed jakimś domem z szarego kamienia, gdzie nad wejściem można było dostrzec ledwie czytelny napis.

„Gospoda” — odczytał z trudem Jasiek, a że był strudzony i głodny, wszedł do wnętrza. Znalazł się w ciemnej izbie, gdzie pod ścianami stały drewniane ławy i stoły. I tu wszystko wydało mu się szare, jakby pokryte kurzem, nie widział ludzi i nie słyszał żadnej kuchennej krzątaniny, jaka zwykle bywa w gospodach. — Hej! Jest tam kto? — zawołał. — Zjadłbym coś i wypił.

Ale nikt mu nie odpowiedział i dopiero po chwili, kiedy się rozejrzał, dostrzegł chudego i przygarbionego człeczynę, który wysunął się z kąta. Był zmizerowany, jak ludzie, co się snuli po ulicach miasta.

— Zjadłbym coś w tej waszej gospodzie — powtórzył Jasiek.

— Dajcie, co tam macie, aby miskę zupy z kawałkiem chleba...

Człeczyna, jakby przestraszony, przyłożył palec do ust i szepnął:

— Chleba, panie, u mnie nie dostaniecie. Nawet kawałka, nawet skórki od niego. Tylko wody mogę wam trochę w kubku podać. Tylko wody...

I pokłonił się grzecznie.

Wypił więc Jasiek wodę, podziękował pięknie, bo człeczyna nie chciał od niego wziąć za nią zapłaty, a potem zapytał:

— A gdzie tu jest jakaś inna gospoda, gdzie bym mógł bodaj żurek zjeść albo kaszy trochę?

— Nigdzie, panie, nie dostaniecie... Nigdzie i u nikogo...

— Ale dlaczego? — dopytywał się Jasiek — dlaczego? Wszę-
39

dzie, gdzie bywał, nikt nigdy nikomu chleba nie odmówił. W najbiedniejszej chacie dla wędrowca znalazła się zawsze kromka. A czasem to jeszcze i na drogę bocheneczek człowiek dostał...

Właściciel gospody poruszył przecząco głową, obejrzał się na boki, jakby się bał, aby kto nie usłyszał ich rozmowy, i szepnął:

— Dziwicie się, panie? Ale już tak jest u nas w Pajęcznie...
Strach o tym mówić...

I westchnął żałośnie.

— W Pajęcznie? — powtórzył Jasiek.

— Ano w Pajęcznie... Nie słyszeliście nigdy o nim, młody panie?

— Jakże to? Jakże to jest, że chleba nie macie?

— Tak tu jest, że chociaż młyny u nas ziarno mielą na mąkę, a piekarnie wypiekają co dzień bochny cudnie pachnące, my nie jemy tego chleba... I nikt na to poradzić nie może, chociaż byli tacy, co próbowali. Ej, lepiej idźcie stąd ode mnie...

Pokłonił się Jasiek, ale dalej nie pytał, bo było widać, że człeczyna boi się czegoś i nic już więcej nie chce powiedzieć. Ruszył więc dalej ulicami szarego, milczącego miasta, gdzie nawet nie było słyhać głosów dzieci, które by się bawiły przed

domami. Dzieci stały pod ścianami milczące i zmizerowane, a kiedy próbował do nich zagadać, uciekały, jakby przestraszone. Niektóre przy tym zapląty-wały się w wielkie pajęczyny, rozsnute na ulicach. Im dalej szedł, tym pajęczyn było więcej. Zwisały z dachów i przesłaniały okna.

Wreszcie wydostał się z wąskich uliczek i przed nim, między dwoma szeregami uschniętych drzew zasnutych pajęczynami, ukazała się droga, na której końcu, w oddali, poprzez snującą się mgłę widać było zarysy skał czy może wież. Zapragnął więc jak najszybciej tam dotrzeć, a że właśnie drogą szła zgarbiona kobiecina z wiązką chrustu na plecach, podszedł do niej.

— Jestem wędrowcem — powiedział — i chciałbym wiedzieć, dokąd wiedzie ta droga.

Kobieta popatrzała na niego ze smutkiem.

— Widać jesteście, panie, nietutejszy. Tą drogą możecie, panie,

40

dojść do zamku. Ale czy zdołacie tam się dostać? Czy sił wam starczy i odwagi?

— Jakże to? — spytał Jasiek. — O czym mówicie? Sił mi nie brak... odwagi też, ale co mam uczynić?

— Ach, może wy, panie młody, przynieślibyście ratunek dla księżniczki, dla starego księcia i dla tego miasta nieszczęsnego.

Czy potrafilibyście pokonać pająka? — wyszeptała i obejrzała się trwożnie.

— Pająka? — zawołał Jasiek i chciał pytać dalej, ale kobieta potrząsnęła głową.

— Nie, nie, nic więcej nie powiem... boję się. Pająk... pająk wszystko może usłyszeć. Ale kto by znalazł pierścień... ;— Nie dokończyła, tylko popatrzała ze smutkiem i odeszła.

Ocalić księżniczkę, ocalić starego księcia, ratować miasto?
Pokonać pająka, który budzi lęk w ludziach?

Jasiek zacisnął mocno dłonie, jakby całą swoją siłę chciał w nich zawrzeć, i ruszył w stronę zamku. A że pragnął jak najszybciej tam dotrzeć, wkrótce stanął u jego stóp i u podnóża ciemnych skał.

Zadyszany i zmęczony przysiadł na przydrożnym kamieniu i rozejrzał się. Jakże smutny rozciągał się wokół widok... Co teraz robić? Kobieta na drodze powiedziała też coś o pierścieniu. Co to za pierścień? Gdzie go szukać? Westchnął ciężko i ruszył w stronę zamkowej bramy. Tak jak i mury, wrota były zasnuwane pajęczyną, która miejscami splatała się w grube liny.

Ale Jasiek bez trudu rozsunał ją i wszedł na podwórzec zamkowy. Cisza tu panowała, a kamienne płyty, po których stapał, pokryte były także szarą pajęczyną, czepiającą się jego stóp. Pajęczyna zwisała również ze ścian i stropów niczym szare, poszarpane szmaty. Zasnuwała piękne okna w salach, tak

że światło ledwo tu docierało. Mijał więc Jasiek puste komnaty, wreszcie dotarł do tej, która kiedyś musiała pewnie być najwspanialsza. I tu zewsząd zwisały szare pajęczyny, a na tronie siedział uśpiony i zasnuty pajęczyną stary książę, obok zaś stała nieruchoma, otulona szarą pajęczą przedzą księżniczka. Nawet jej twarzyczka była nią przesłonięta.

41

Pokłonił się księżniczce i księciu, bo tak się należało, ale oni jakby go nie widzieli i trwali dalej nieruchomi i milczący.

— Zaczarowani jesteście — westchnął żałośnie Jasiek. I żał ich mu okropnie było, i żał mu było tego smutnego, jakby nieżyjącego miasta. Miasta, które zwało się Pajęczno. — Jakże ten pierścień mam znaleźć — zawołał z rozpaczą — jakże was wszystkich, wszystkich wyratować?

Ale tylko echo jego wołania rozbrzmiewało w zamkowych salach.

Nie, jednak nie tylko echo, bo po chwili usłyszał jakiś szmer. Jakby z kąta któregoś, jakby ze szpary w podłodze, doszedł go cichy, cienki głosik:

— Ratuj nas, ratuj! — A po chwili do jego stóp, przedzierając się przez pajęczę nici, podbiegła mała, szara mysz. Była wychudzona i znędzniała; przysiadła wyciągając łapkę. — Ratuj nas — powtórzyła.

— Jakże to? — zdziwił się Jasiek. — Jakże to jest, że rozumiem twoją mysią mowę? Czary czy co?

— Pewnie że czary — odpowiedziała mysz. — Przecież tu wszystko jest, jak widzisz, zaczarowane. A teraz słuchaj mnie, młody panie. Zaczarowany pierścień zgubiła księżniczka, kiedy siedziała w ogrodzie i przestraszyła się ogromnego pająka, który wyszedł ze swojej jaskini w skałach. Zerwała się do ucieczki i wtedy pierścień zsunął się z jej palca i potoczył po kamyczkach, i przepadł nie wiadomo gdzie. A ten pająk zaczął się robić coraz większy i większy i zasnuł swoją pajęczyną zamek i całe miasto. Od tego czasu ludzie muszą oddawać mu chleb, a on go pożera i nigdy nie ma dosyć.

— Ach, gdybym miał miecz!... — zawołał Jasiek. Ale mysz zapiszczała:

— Najpierw musisz mieć zaczarowany pierścień. Wiem, gdzie on jest. Potoczył się do mysiej nory, tylko ja nie mam siły, aby go stamtąd przynieść. Jestem taka słaba... umieram z głodu...

— Poczekaj, poczekaj chwilę. — I Jasiek sięgnął do kieszeni, w której miał przedtem kromkę chleba. Znalazł jakieś okruchy i podał je myszy.

42

— Dzięki! dzięki! — zapiszczała. — Ratujesz mi życie, czuję, jak wracają mi siły. Czekaj teraz cierpliwie, zaraz wrócę.

I mysz zniknęła w szparze pod podłogą. Długo jednak nie wracała, a kiedy wreszcie wysunęła się z nory, była drżąca i zapłakana.

— Wybacz, wybacz — szlochała — kiedy go niosłam, pierścień wysliznął mi się i wpadł do strumienia, który płynie pod zamkiem...

— Jakże go znajdę? — zmartwił się Jasiek.

— W wodzie, w wodzie, w głębinie — westchnęła mysz. — Ale wyjdź teraz na podwórzec, gdzie stoi kamienna studnia. Podejdź do niej i czekaj, aż woda w niej zadudni... Wtedy pochyl się nad nią i zawołaj:

Wodo, wodo, srebrna wodo, nie zabieraj zguby z sobą! Oddaj, wodo, złoty pierścień, oddaj, wodo, ludziom szczęście!

I tak się stało, że kiedy Jasiek te słowa powiedział, woda się w głębi studni jakby skłębiła, jakby podniosła i przez kamienne obramowanie chlusnęła na ziemię podwórca. Zobaczył Jasiek w spływającej wodzie złoty pierścień z czerwonym oczkiem. Schylił się, żeby go podnieść, ale pierścień jakby umykał przed nim i toczył się dalej i dalej, aż wreszcie zatrzymał się przy wielkim kamieniu. Podniósł więc Jasiek pierścień, wsunął na serdeczny palec, a wtedy kamień odwrócił się na bok. Pod kamieniem zaś leżał miecz srebrny. Teraz serce Jaškowi zabiło z radości.

— Hej! — zawołał — a hej!

Rozejrzał się wokoło i już wiedział, co ma robić. Przecinał mieczem zwoje pajęczyn, które oplątywały mu nogi, i biegł w stronę skał, aż dotarł tam, gdzie na pajęczynie, jakby z grubych lin wiązanej, siedział pająk. Ogromny był. Ledwie by się zmieścił we wrotach stodoły. A łapy miał grube i kosmate niczym konary drzew. Kiedy zobaczył śmiałka ze srebrnym mieczem, wyciągnął łapy, aby go

43

schwycić, ale zaplątały mu się w pajęczynę i wtedy runął ze skały. A kiedy już leżał na kamienistej ziemi, nic z niego nie pozostało oprócz wielkiego płata pajęczej skóry...

Hej! Nie wiadomo jak, ale w jednej chwili miasto ożyło: odezwały się dzwony i zegary na wieżach. Ludzie wyszli z domów i zdzierali pajęczyny, zamiatali ulice, dzieci śmiały się i bawiły, poruszyły się skrzydła wiatraków, obracały się koła młyńskie.

— Będzie mąka na chleb! — wołali ludzie.

Z piekarń rozchodził się cudowny zapach pieczonego chleba, gospodynie robiły w domu porządki i zagniatały ciasto na kluski...

A tymczasem Jasiek biegł do zamku — przecinał zwoje pajęczyn zagrządzających drogę, mijał szare, smutne komnaty, i oto wyszła na jego spotkanie księżniczka, roześmiana i szczęśliwa, piękna i jasnowłosa. A stary książę? Odzyskał siły i

wyplątał się z pajęczyn, które go więziły, a potem klasnął w ręce i na ten znak zaczęli wydobywać się zamotani w pajęczynach dworzanie.

— Ano do wesela trzeba teraz wszystko szykować — powiedział książę — bo oto wydajemy księżniczkę za naszego oswobo-dziciela!

I odbyło się wesele na zamku. Pośrodku zaś weselnego stołu leżał wielki bochen chleba z rumianą, złocistą skórką. I wszyscy pili zdrowie Jaśka z Głubczyc, a on pięknie podziękował i wypił wtedy kieliszek miodu za zdrowie małej, szarej myszy.

Zebrali się też w ratuszu miejskim radni miejscy i uradzili, żeby na wieczną pamiątkę przybić na drzwiach kościoła farnego tę wielką skórę pajęczą. I tak się stało.

■

r

Korona króla Scytów

awno to było, w wieczór zimowy. Zmrok już na dobre ogarnął ziemię przysypaną białym, sypkim śniegiem. Tyle go napadało, że aż poprzyginał gałęzie drzew, że aż sięgał po równo przyszczyżone strzechy drewnianych chat.

W taki to wieczór rozległo się naraz głośnie naszczekiwanie psów i z otwartych na oścież, buchających ciepłem i żółtym światłem drzwi chaty wybiegła dziewczyna. Zatrzasnęła je za sobą i stała przed chatą nasłuchując. Blask księżyca oświetlił jej smukłą postać, którą można by porównać do młodej topoli. Miała warkocze grube, bladozłote i oczy podobne barwie zimowego nieba. W ręce trzymała drewniane wiadro.

Jazgot psów stał się głośniejszy. Dziewczyna poskoczyła przez śnieg w tamtą stronę, skąd dobiegało szczekanie, ale nic nie dostrzegła.

Aż naraz w poświacie księżyca ujrzała, że poprzez śnieżne pola sunie ktoś, jakby go wicher niósł. Pomyślała przez chwilę, że może to sam Swistun. Gdy się zbliżył, dostrzegła, że do stóp miał przywiązane płozy, jakby od sań. A płozy te niosły go tak, jakby pędziły w sto koni. W rękę trzymał dwa kije wysokie, którymi od śniegu się odpychał.

45

Gcju t^k w pędzie ogromnym przed dziewczyną chciał się zatrzymać, ^^adził jedną z tych płóz o niewielką choinkę, która swoje ciemne Rhy4ce kitki ciekawie wysuwała ze śniegu. Zawadził i ściał drzewko płozą.

—_ rtfżeś zrobił i kim jesteś? — spytała śmiało dziewczyna z chaty powiem nie bała się nikogo. — Może jesteś bogiem wichru,

Śvvistunem?

— jestem królem Scytów! — odrzekł dziwny przybysz. I dopiero ter3z' kיעiY stana-* blisko niej, dziewczyna dojrzała, że był piękny iflłody, odziany w skóry i futra i że miał koronę na jasnych

włosach.

^ ćciałeś choinkę! — dziewczyna zmarszczyła gniewnie brwi, ale ciekawość przemogła gniew. — Dokąd tak pędzisz na tych deskach „wywiązanych do stóp?

—_ mleka jeszcze przede mną droga, piękna, nieznana dziewczyn0 podążam do południowej krainy, gdzie czekają na mnie dwaj inni i^iowie. Powiadają ludzie, że mają ciemną skórę i że są magam;_ Chcę z nimi mówić o dziwnych sprawach tego świata. A pr^vbC^ om' zza dwóch rzek, jedna z nich nazywa się Euftrat,

a druga Tygrys-

—^ d trafisz tam? — zdumiała się dziewczyna.

,___pewnie, że trafię. Kieruję się gwiazdami, a zwłaszcza jedną, o szczegóły01 blasku. Widzisz ją? Tę ogromną?

dziewczyna spojrzała na ciemną, nieogarnioną przestrzeń nieba, na której jaśniała nie znana jej dotychczas gwiazda. A potem postawiła wiadro, wyciągnęła z sypkiego śniegu złamaną choinkę i patrzyła na nią zaniemowiona.

— Co to jest twoje drzewko? — spytał król Scytów. — Twoje? Wynagrodzę ci szkody. — Złotem wynagrodzę.

— Co to jest złoto?

— Progi kruszec, dziewczyno.

— Czy masz na myśli żelazo?

— Nie! — zaśmiał się. — Nie. Złoto jest droższe od żelaza. — Jakże piękne.

46

I Scyta wyjął z zanadru garść okruchów połyskującego złotawo kruszcu.

— Ee, to nic wielkiego to twoje złoto! — dziewczyna wygięła pogardliwie usta. — Wygląda jak nasze ziarno. Ziarno też jest takie. Takie samo jak blask słońca. Ale latem pełno go u nas na wszystkich polach. A ty masz go zaledwie garść. Nic mi po twoim złocie.

Ujęła w jedną rękę wiadro, w drugą ściętą choinkę i zawróciła do chaty.

— Zegnaj! — powiedział wędrowiec.

— Zegnaj — odrzekła dziewczyna. I patrzyła za nim, kiedy sunął już dalej na tych swoich płozach, w śnieżnej kurzawie, i patrzyła na dziwną dużą gwiazdę. I o czymś widać myślała, bo brwi miała zmarszczone.

Choiwkę zabrała do chaty. Ciemne, kłujące drzewko wydało jej się teraz najśliczniejsze. Postawiła je w rogu izby. Potem słomę, która miała barwę kruszcu pokazywanego jej przez Scytę, związała w kształt gwiazd. I zawiesiła na drzewku.

*

Mijał czas i słońce coraz dłużej rozsiadało się na niebie, aby ogrzewać ziemię. Śnieg dawno zniknął, po nim przyszła wiosenna ruń, a potem — jak nie kończące się morze — rozciągały się pola zboża o barwie bladego, porannego słońca.

Aż któregoś dnia człowiek jakiś, przedarłszy się przez ciemną gęstwinę leśną, stanął na wzgórzu i spojrzał na owe pola. Zmarszczył brwi, jakby sobie coś przypominając, i wyciągnął z zanadrza garstkę połyskliwego kruszcu. Był ten kruszec tak samo złocisty jak zboże.

Wędrowiec przesłonił oczy dłonią i naraz dojrzał na niebie ciemną smugę dymu. Począł więc spieszenie iść w tamtą stronę,

ale pola pokryte zbożem zdawały się nie mieć końca. Usłyszał jakieś nucenie i zatrzymał się.

Dróżką od chaty biegła dziewczyna z wiadrem. Gdy była już blisko, zdała mu się dziwnie znajoma, a i ona przystanąła ciekawie

47

patrzac na obcego. Naraz roześmiała się wesoło niczym wilga i zawołała:

— Król Scytów!

— Jam jest — odpowiedział z godnością wędrowiec.

— Byłeś tu przecież! I choinkę mi ściałeś!

— Pamiętam, pamiętam, dziewczyno. A ty wzgardziłaś moim złotem! Powiedziałaś, że pełno go u was na polach.

Rozejrzał się.

— Prawdę mi wtedy rzekłaś — dodał. — Złoto u was rośnie. Wracam z dalekiej ziemi betlejemskiej, gdzie, jako ci rzekłem, z czarnymi królami-magami się spotykał. Teraz wracam przez twoją ziemię. Nie zapytałem tylko wtedy, jak zwie się ten kraj przedziwny, złocisty.

— Zwą go ziemią Lechitów.

— Lechitów? — powtórzył Scyta. — Pragnąłbym bardzo poznać króla tego kraju. Czy mieszka w złotym pałacu?

Dziewczyna roześmiała się.

— Nie. Nie mieszka w pałacu. W chacie mieszka, w chacie z drewnianych bierwion. Tylko dach u nas złocisty.

— Jakże to?

— A toż mówię, królu scytyjski, że król tego kraju, a ojciec mój, mieszka w tej oto chacie, krytej słomianą strzechą.

— A jakże zowią twego ojca?

— Lech go zowią — powiedziała dumnie dziewczyna.

— Zaprowadź mnie do niego — poprosił przybysz. — Bo mimo że zmęczony drogą, pragnę go zobaczyć. Czy będzie mógł udzielić mi posłuchania?

Dziewczyna znów roześmiała się wesoło i ujawszy króla Scytów za rękę, pobiegła z nim w stronę chaty. Przed chatą siedział na ławie człowiek jasnowłosy, o siwych, sokolich oczach, ogromny, ubrany w płócienne szaty.

— Ojcie — zawołała do niego dziewczyna — oto Scyta... król Scytów — poprawiła się. — Ten, co choinkę ściął. A teraz chce z tobą mówić.

48

Lech wstał z ławy.

— Witaj, gościu!

— Witaj, królu! — powiedział Scyta i pokłonił się. —
Chciałem ci powiedzieć, że wiele krajów widziałem, ale żaden z
twoim równać się nie może. Nigdzie tak jak tu — zatoczył
ramieniem łuk, wskazując na pola — nigdzie tak jak tu złoto nie
rośnie na polach. I nigdzie — dodał — nie widziałem dziewcząt
tak pięknych, jak twoja córka. Daj mi ją za żonę, będzie u mnie
królować.

— Stanie się, jako dziewczyna zechce — powiedział Lech.

— Cokolwiek odpowie dziewczyna, jeszcze jedno rzecz
chciałem — pokłonił się powtórnie Scyta. — Pragnę wyrazić
swoją podziw dla twego kraju. A że nie potrafię inaczej, więc
ofiaruję ci to, co miałem dotychczas najcenniejszego: moją złotą
koronę. Noś ją, Lechu, na znak władzy nad twym złocistym
krajem.

Pokłonił się teraz Lech i przyjął koronę z rąk króla Scytów.

Nosił ją potem i synom swoim i wnukom przekazał.

Dziewczyna zaś odeszła ze Scyta. A na pamiątkę po niej inne
dzieci Lecha zaczęły corocznie zimą, gdy śnieg pada i gwiazda
na niebie świeci ogromna, stroić w złociste, słomiane gwiazdki
choinkę.

4 — Było, niebyło.

Kto umie pasać zające?

ył sobie król.

Jak to król — był bogaty i mieszkał we wspaniałym zamku. A czego to on w tym zamku nie miał? Wszystko miał. Miał wspaniałe komnaty o ścianach pokrytych jedwabnymi zasłonami. A na tych jedwabnych zasłonach były haftowane złotymi nićmi złote kwiaty i drzewa. Okna w tych komnatach to były w srebrnych ramach, a jakże! A szyby z najprawdziwszego kryształu! Tak, moi drodzy! I wszystkie, ale to wszystkie sprzęty były przepiękne — wyściełane niebieskim albo różowym aksamitem. No, co wy na to? A takie wygodne! Jeśli ktoś usiadł na takim krześle albo fotelu, to przez cały dzień chciał tam siedzieć. Albo łóżka! Ogromne, mięciutkie, a pościel puchowa w atłasowych poszewkach. A do tego — uważajcie — kto w takim łóżku spał, to mu się śniły najpiękniejsze sny — jakie tylko kto sobie wymyślił. Tylko tyle, że taki sen to mógł się jedynie raz przyśnić. I nigdy się nie powtarzał.

Za to w królewskim zamku było jeszcze dużo innych wspaniałości — sale do tańca, gdzie grała muzyka, i sale, w których stały stoły z różnymi pysznościami. Tak, moi drodzy!

Nic więc dziwnego, że gości ciągle było w tym zamku pełno. Trzeba by też i o tym powiedzieć, że naokoło zamku był ogród

przepiękny, z kwiatami, które kwitły cały rok, a dalej, dalej za ogrodem rozciągały się zielone pola i gęste lasy.

Hej! To dopiero królestwo, co?

A jeszcze trzeba powiedzieć, że król miał córkę. Bo królowie zawsze mają synów albo córki. Tak już jest. Ale ta córka była najpiękniejsza z pięknych. Niejeden królewicz chciałby się z nią ożenić. A nazywała się Arcybella.

Tak więc temu królowi nic właściwie nie brakowało do szczęścia. Przynajmniej tak się wydawało i byli tacy, inni królowie, którzy mu zazdrościli. I wszyscy tak w ogóle mówili: „temu to nic nie brakuje”.

Ale wcale tak nie było!

Otóż król miał zmartwienie. Tak, miał zmartwienie i przykro mu było, kiedy słyszał, jak opowiadano, jakie to piękne i tłuste zające żyją w niektórych krajach. A tamci, inni królowie, chwalały się tym. I podobno nawet się wyśmiewają, że zające u niego są chude i wyglądają jak zagłodzone psy. I że w ogóle jest ich bardzo mało. Przy tym uciekają przed ludźmi i nawet przed samym królem, jeśli raczy być na polowaniu.

Takie miał ten król zmartwienie!

Szukał więc jakiejś pociechy i pewnej nocy, kiedy ułożył się wygodnie w swoim wspaniałym łóżku, zapragnął, aby przyśnił

mu się jakiś sen przyjemny, który by go trochę rozweselił, a może nawet i pocieszył. Napił się jeszcze przedtem grzanego wina, bo noc zapowiadała się chłodna, otulił się puchową kołdrą, przytulił królewską głowę do poduszki i zasnął.

I oto przyśniło mu się, że przechadza się na rozległej łące, nie opodal swojego zamczyska. Przechadza się — a dzień, jak mu się przyśniło, jest piękny i słoneczny. Trawa na łące jest bujna i pełno w niej kwiatów, a gdzieniegdzie rosną bujne krzewy jałowca albo może i inne. Do tego ptaki też ślicznie śpiewają, a pszczoły i trzmiele brzęczą tak miło!

Idzie więc król — w tym śnie — rozgląda się wokoło i myśli sobie, co też dalej będzie się w tym śnie działo, kiedy naraz widzi, że

51

zza krzewu czarnego bzu wygląda na niego zając! Stoi słupka i wesoło patrzy na królewską osobę. A potem wyskakuje i zaczyna biegać po łące, a za nim drugi i trzeci. Wszystkie piękne! Mają lśniące futerka i są dobrze wypasione. Nie żadne chudzielce, tylko po prostu tłusciochy! A król we śnie patrzył na nie i cieszył się, i obiecywał sobie, jak to będzie się nimi chwalił. Żaden inny król takich nie ma. I jest ich dużo! Całe stado!

Ale szczęście królewskie minęło, kiedy sen się skończył. Król, gniewny i zmartwiony, siedział na swoim królewskim łożu i nie mógł przestać myśleć o tych zającach na łące. Wreszcie wstał,

ubrał się i kazał zwołać wszystkich dworzan, a potem zasiadł na tronie i powiedział:

— Takie jest moje królewskie rozkazanie, żeby na rynku naszego miasta ogłoszono, iż jeśli się znajdzie taki, co potrafi pasać stado zajęcy, ten w nagrodę ożeni się z moją córką, królowną Arcybellą, i będzie rządził razem ze mną.

Tak więc trębacze ogłosili na rogach wszystkich ulic, a także na rynku, królewskie zarządzenie.

Ludzie wtedy przystawali, słuchali i kręcili głowami.

— Kto by to potrafił! — mówili. — Zajęce nie dadzą utrzymać się w stadzie. Gdzie tam!

Ale jeden młody chłopak imieniem Beldonek, sierota, co jak powiadają, przyszedł do miasta aż gdzieś tam spod Tarnowskich Gór, kiedy to usłyszał, zaraz sobie pomyślał, że dopiero to by było cudnie, gdy się z królowną Arcybellą ożeni. Bo raz ją widział i bardzo mu się podobała. Ale kto by tam dał radę tym zającom?!

Rozmyślając o tym wędrował między straganami rozglądając się za butami, które chciał sobie kupić. Bo miał na to kupno oszczędzone trochę groszy. Rozglądał się więc, które by to były takie, żeby mu pasowały, i już nawet miał na oku jedne z żółtej skóry, z galantymi cholewkami, kiedy naraz zobaczył jakiegoś grubego człowieka, trzymającego w ręku klatkę. A w klatce był ptak. Szpaczek jeszcze widać młodziuteńki, ale jakiś niezwykły.

Piórka miał mieniające się ni to ciemnym błękitem, ni to zielenią, nakrapiane złotymi plamkami.

52

Beldonek przystanął i zapatrzył się na niego, a gruby handlarz powiedział:

— Kup go sobie!

— E tam! — szepnął Beldonek. — Kiedy pieniędzy mi nie starczy...

Ale nie odchodził, tylko patrzył na ptaka, który trzepotał się w klatce i pogwizdywał tak pięknie i tak żałośnie, że Beldonkowi aż serce się ścisnęło.

— No, kup go! — zachęcał handlarz. — Patrz, jaki piękny! I śpiewać potrafi. Kup go!

A szpak ciągle trzepotał się i Beldonek wtedy pomyślał, że jakoś bez butów się obejdzie, odda te pieniądze, co miał na buty, handlarzowi, ale ptaszka u niego nie zostawi. I tak zrobił.

Zabrał więc klatkę ze szpakiem i wędrował na bosaka do swojej wioski z powrotem, najpierw polną drogą, a potem ścieżką pod lasem. Szpak pogwizdywał teraz ślicznie, jakby w podzięce. Ale kiedy Beldonek doszedł do niewielkiej polanki, przy olchowym gaju, wtedy otworzył klatkę i wyjął z niej ptaka. Trzymał go na

otwartej dłoni, a ptak wydał mu się jeszcze piękniejszy, jakby cały złoty.

— Leć wolno — powiedział do niego Beldonek — leć swobodnie, ptaszku złoty!

Szpak jednak nie odlatywał, tylko zanucił tak pięknie, że Beldonek jeszcze nigdy dotąd w życiu takiego śpiewania ptasiego nie słyszał. A co najdziwniejsze, że rozumiał teraz tę ptasią mowę.

— Dzięki ci — powiedział szpak — dzięki ci za twoje serce, dzięki za wolność, którą mi dajesz. Ale chciałbym ci się odwdzięczyć za to. Tylko że nic więcej nie mogę ci podarować, jak jedno moje piórko. Pomoże ci w potrzebie, tak jak ty mi pomogłeś, i spełni twoje każde życzenie. Żegnaj, Beldonku!

I ptak odfrunął.

Beldonek został z pustą klatką, a w ręce trzymał złote piórko. „Pomoże ci w potrzebie” — powiedział szpaczek...

— Pomoże ci w potrzebie — powtórzył Beldonek. I po chwili pomyślał: Ano buty by mi były potrzebne, ale gdzieżbym śmiał...

53 III

I spojrzął na swoje bose nogi — ale w tej chwili już nie były bose; miał na nich piękne buty, takie jak te, które sobie na straganie wypatrzył.

— Więc to tak! — zawołał. — Piórko ty moje złociste! Dzięki ci! — Ucałował je i śmiał się ze szczęścia, a potem schował je dobrze w zanadrzu. Rozejrzał się wokoło i świat wydał mu się tak piękny. — Hej! hej! — zaśpiewał. — Hej! hej!

I już miał ruszyć w dalszą drogę do swojej wioski, do tej pustej chaty, która mu po matuli została, kiedy naraz przypomniał sobie o tych zającach królewskich. Ejże, czy to aby będzie możliwe? — pomyślał, bo był nieśmiały, ale potem powiedział sobie: Ano spróbuję! — I odziany w nowe buty, ruszył prosto na królewski dwór.

Najpierw nie chcieli go strażnicy wpuścić do zamku, ale kiedy rzekł, że to o zające chodzi, to zaraz go do króla poprowadzili.

A król siedział na tronie i spytał:

— Potrafisz pasać zające? Całe stado?

Wtedy Beldonek, myśląc o złotym piórku i o tych nowych butach z żółtej skóry, skłonił się i odpowiedział:

— Ano spróbuję, proszę króla. Tylko jakiś spory kawałek łąki by mi się przydał. Aby trawa na niej była bujna. A także i jakiś zagajnik do tego.

— Niech tak będzie — zgodził się król. — Mój najważniejszy minister przydzieli ci tyle ziemi, ile ci trzeba.

Hej! hej! Łąka to była rozległa, a trawa na niej soczysta. Opodał zaś był zagajnik i dalej las. Beldonek stanął więc na skraju łąki i

rozglądał się. Serce mu biło, bo ciągle jeszcze nie miał pewności, jak to będzie dalej. Jak to będzie? Aż wreszcie zebrał się na odwagę, wyjął złote piórko z zanadrza, pocałował je i szepnął nieśmiało:

— Pióreczko ty moje kochane, a niechby tu było chociaż i dziesięć zajęcy...

No i co? Ani się obejrzał, kiedy już biegały po łące. A Beldonko-we serce zaczęło walić z radości.

— Piórko ty moje złociste, a niechby ich było i ze sto?

54

Zląkł się, czy aby nie za śmiały jest i nie za dużo prosi, ale było już ich teraz pełno wokoło. Biegały, skakały, stawały słupka.

Ale gdy mi się rozbiegną, to jakże je upilnuję? — zmartwił się naraz. — Jakby na to zaradzić? Żeby tak Burek, co naszej chaty pilnuje, tu był!...

No i co? Ledwie o tym pomyślał, a już usłyszał znajome szczekanie. To Burek ujadał zawzięcie i zaganiał zające. Beldonek, ucieszony, pogłaskał pocziwe psisko, ale zaraz zatroszczył się:

— A jakże ty sobie, psino, dasz radę sam jeden? Jeszcze by ci się zdało z dziesięciu takich jak ty do pomocy...

I zaraz, ledwie to powiedział, już ujadła sfera psów, gotowych do pilnowania zajęcy.

— Hm, teraz chyba już wszystko będzie jak należy — mruknął Beldonek i z zadowoleniem rozejrzał się po zajęczym pastwisku. — Ano niech się tu jeszcze trochę popasą. Trawa jest soczysta, a w oddali, proszę cię, złote ty moje pióreczko, żeby mogło być kilka zagonów kapusty. Zajęce bardzo lubią kapustę. A teraz to ja też bym zjadł cokolwiek, bo co jak co, ale się spracowałem.

I Beldonek zasiadł do śniadania, które mu przyniosła służba królewska. Spodobało mu się nawet to pasanie zajęcy. Albo mu to było źle? A kiedy minęły trzy miesiące albo i cztery, zajęcy było coraz więcej i tak się te szaraki popasły, że wyrosły duże, prawie jak barany. Czas więc nadszedł, aby król je wreszcie zobaczył.

Przybył więc pewnego dnia król z całym dworem na to zajęcze pastwisko. A była z nim także królewna najpiękniejsza, Arcybella, i byli zagraniczni goście, których sprosił. Patrzą więc wszyscy i oczom nie wierzą, bo jeszcze nigdy i nigdzie takich wspaniałych szaraków nie widzieli.

— Ano właśnie — powiedział wtedy dumnie król. — Nigdzie takich nie ma, a u mnie są.

I od razu mianował Beldonka ministrem od zajęcy, a także wyprawił wspaniałe wesele Beldonka z Arcybella. Piękne to było wesele.

No i co z tego, kiedy niedługo potem sprzykrzyło się to wszystko Beldonkowi. I już wcale nie chciał być ministrem ani mieszkać na

55

królewskim dworze. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie chciał i już. Aż pewnego dnia, o świtaniu, usłyszał za oknem, jak szpak śpiewa. Zerwał się wtedy i zawołał:

— Tego mi trza, bym był szczęśliwy! — I obudził zaraz Arcybelle.

— Słyszysz to śpiewanie? — spytał.

— Słyszę — odpowiedziała. — Jest najcudniejsze na świecie. Wtedy Beldonek wziął jeszcze raz do ręki swoje złote piórko i szepnął:

— Ostatni raz cię proszę — podaruj mi teraz konia i furkę. To wszystko, czego mi trzeba.

I wsiedli potem, on i Arcybella, na furkę, i pojechali do tej wioski, gdzie była Beldonkowa chata. I zabrali z sobą Burka. A żyli tam długo i szczęśliwie.

i'-..

l • t „'■: . ;;• -r: 4;!.,.';:-.

O wodnej boginie

Historia to jest niezwykła, a jak powiadają, wydarzyła się w dawnych czasach niedaleko Rogoźna. Od tego zaś trzeba zacząć, że płynęła tam rzeka, co się zwała Wełna. Była ona wtedy głęboka i rozlewna, tylko później, po latach, nie wiadomo dlaczego stała się prawie wąskim strumieniem. Ale wtedy, w czasie wspaniałości i głębokości, słynęła Wełna z tego, że pełno było w niej ryb pięknych, srebrnołuskich, dużych i zwinnych: karpi, szczupaków, sumów i jeszcze innych. Wtedy też ludzie z okolicy łowili je i wozili na targ do miasta, a że zarobek z tego mieli duży, więc łowili bez umiaru zastawiając sieci.

Ale najchciwszy na te połowy to był stary i gruby Kuba Pazernym zwany, ten, który mieszkał we wsi Garbatka. Jednego dnia nie było, żeby połowu zaniechał. A co gorsza, łowił te ryby jak rabuś jaki, bo chociaż dobry obyczaj rybacki tego zabraniał, to Kuba także i drobny narybek z sieci wybierał, podczas gdy wszyscy rybacy z powrotem go do wody wrzucali. A jeszcze i z tego znany był ten Pazerny, że psów nie lubił. Żadnego w spokoju nie zostawił i jak tylko jakiego napotkał, to kamieniem

w niego rzucał albo kijem się zamierzał. Biedne psiska uciekały przed nim, bo niejednemu łapę przetrącił, a ludzie mówili:

57

— Ej, Kuba, pamiętaj, że cię jeszcze jakaś kara sprawiedliwa spotka za to, że krzywdzisz psiny niewinne niczemu, a przecie ludziom wierne.

Zdarzyło się jednak coś takiego, że pamięć o tym przez wieki przetrwała. A było to tak:

W jeden pogodny sobotni wieczór, kiedy już we wszystkich chatach ludzie myśleli o wypoczynku niedzielnym, a gospodynie robiły porządki w obejściach, Kuba Pazerny przywołał pastuszką Jaśką, co u niego krowy pasła, i przykazał mu, żeby co prędzej sieci szykował, bo pojedą zastawiać je na Wełnie. Jasiek się zadziwił, bo wśród tych, co ryby łowili, nigdy nie było w zwyczaju, aby w sobotę na wieczór sieci zarzucać, ale nie miał śmiałości cokolwiek powiedzieć, bo Pazerny złośnik był ogromny, a i tak bez powodu na niego krzyczał, żeby się prędzej ruszał. Zabrali więc sieci, wsiedli na wózek i pojechali nad rzekę.

Słońce wtedy jeszcze nie ze wszystkim zaszło, rzeka połyskiwała w przedwieczornym blasku, a ludzi nad wodą nie było, tylko ptactwo w szuwarach szykowało się do snu i mościło się w gniazdach. Czasem w trzcinach coś zaszeleściło, czasem odezwał się jakiś ptak.

Kuba tylko ręce zacierał myśląc o tym, jak to będzie wyciągał sieci pełne ryb, jakie to pieniądze zarobi, a potem je schowa i nic z tego nie da biednemu Bartkowi, co go o pomoc prosił, ani nawet rodzonemu bratu też nie pomoże. I aż uśmiechał się błogo, kiedy sobie myślał, jak to owe pieniążki będzie liczył. Pokrzykiwał więc na Jaśka, żeby się prędzej ruszał i pomagał mu sieci w upatrzonym miejscu założyć.

Jasiek, że jeszcze mały i nie bardzo silny, pomagał jak umiał. Ale jakoś im to nie szło. Nie wiadomo dlaczego sieci ciągle wymykały się im z rąk, zupełnie jakby je ktoś wyrywał. Trzy razy już tak zarzucali, ale ciągle na próżno.

— A cóż to takiego! — krzyknął rozgniewany Kuba. — Przeklęta ta rzeka czy też jakieś złe moce dziś się na mnie uwzięły! Licho jakieś w tej wodzie siedzi czy co? Jakby na złość, tak dzisiaj woda

58

szarpie sieciami! Ale jakem Kuba Pazerny, tak się nie dam i będę łowił!

Ledwie jednak wyrzekł te słowa, nagle woda w rzece pociemniała, zabulgotała, wzniosła się wielką falą, a z tej fali wynurzyły się dwa ogromne, czarne psy. Tak wielkie były, że podobnych chyba jeszcze nikt nie widział. To one ciągnęły sieć i Kuba całkiem nie mógł im poradzić, a i bał się ich, bo warczały przy tym groźnie. A tak tą siecią miotały, aż wreszcie zawinęły w nią Kubę i Jaśka i dalej ich w tej sieci pod wodę ciągnąć.

— Rety! Rety! Na pomoc! — krzyczał Kuba, a Jasiek tylko cicho popłakiwał, bo się wystraszył, że ich te psy potopią.

Ale że nad rzeką zmrok zaczął zapadać i ludzi nie było, więc na nic były te krzyki i wołania Kuby Pazernego, a co gorsza, zaraz znaleźli się pod wodą. Leżeli teraz na piaszczystym dnie, a wkoło przepływały stada ryb. Ale już po krótkiej chwili dostrzegli, że chociaż są pod wodą, to przecież nie toną ani nie duszą się. Z tej rzecznej wody bowiem nad nimi wzniosła się jakby kopuła, jakby dach przezroczysty.

— Rety! — jęknął znów Kuba, ale kiedy spostrzegł, że nie utonął, tylko że dalej leży zamotany w sieci, to zaraz po swojemu wrzasnął na psy: — A poszły won! Ja wam tu dam!

Ale te psy nic a nic się nie zlekły, tylko warknęły i pokazały swoje ogromne zęby.

— Oj, oj! — zaskomlił teraz pokornie Kuba, ale psy znów warknęły, a potem zaczęły ciągnąć sieć, a w niej Kubę i Jaśka, przez piaskowe dno rzeki.

— O rety, o rety! — szeptał teraz Kuba. — Co z nami będzie? — I zamknął oczy ze strachu.

Ale kiedy je otworzył, to otworzył też i usta ze zdziwienia, i tak się gapił, bo nawet głosu nie mógł wydobyć. Zamotani ciągle w sieci, leżeli teraz obaj z Jaśkiem u stóp srebrnego tronu, a na tym tronie siedziała dziewczyna w pancerzu z rybiej łuski. Miała długie zielone jak wodorosty włosy i na głowie koronę z

mieniących się muszli. Wyglądała jak królowa, a na Kubę patrzyła srogo.

59

— To ty jesteś Kuba, zwany Pazernym? — spytała, a głos miała szelestliwy, jakby to fala rzeki szumiała.

— Ja, niby ja — wyjąkał Kuba.

Ciągle był zaplątany w swej sieci, ale próbował się jakoś wygramolić. Wreszcie tyle mu się udało, że mógł przykleknąć i na tę rzeczną królową patrzeć. A ona ciągle była gniewna.

— To ty co dzień łowisz bez opamiętania ryby w mojej rzece?

— Łowią — mruknął ponuro Kuba. — Ale jakże ja tam je łowią, królowo łaskawa. Łowią i niby sprzedają. Ale niewiele, ledwie, ledwie odrobinę wyciągam z sieci i w mieście sprzedają. Biedny jestem, nic prawie nie zarabiam...

Byłby tak i dalej jęczał i skomlał, gdyby nie to, że w tym miejscu oba czarne psy warknęły i pokazały zęby.

— Nieprawdę widać mówisz, bo moje wierne psiska warknęły na ciebie — powiedziała wtedy srogo. — Łowisz ryby każdego dnia i zabierasz młody narybek. Przynosisz mojej rzece zniszczenie i spustoszenie. Powinnam cię za to ukarać. Mógłbyś zostać tu, na samym dnie, a szczupaki by się z tobą rozprawiły. Tylko tego chłopczyńkę-niebożę puściłabym wolno, bo on nic nie

winien. Nie bój się, Jaśku, tobie tu się krzywda nie stanie. Ale Kuba Pazerny zasługuje na karę!

— Łaski, łaski! — jęknął teraz pokornie Kuba. — Przecież, najjaśniejsza rzeczna królowo, wszyscy łowią ryby! Dopraszam się łaski i zmiłowania...

— Łowią, łowią, ale nie tak po zbójceku jak ty, tylko według prawa, jakie jest na świecie. Każde stworzenie ma swój czas ochronny. Jest pora, kiedy na zające albo na sarny czy inne zwierzęta nie wolno łowów urządzać. Na ryby też. A ty żadnego prawa dla nich nie szanujesz. Dlatego zostaniesz ukarany.

I skinęła ręką, a wtedy — nie wiadomo, jak to się stało — ze wszystkich stron ukazały się niezliczone szczupaki. Były ogromne, patrzyły srogo i otwierały zębate paszcze.

— Ratunku! Łaski, przebaczenia — jęczał Kuba — ja już nie będę! Ja się poprawię!

Zielonowłosa rzeczna panna roześmiała się.

60

— A widzisz, mój ty rybaku, coś taki na wszystko pazerny, widzisz, jak to miło miotać się w sieci bez ratunku i obrony? Ale ja nie chcę twojej zagłady, nie chcę twojej biedy. Puszczę cię tym razem. Tylko musisz mi obiecać, że w jednym dniu w tygodniu nie będziesz łowił ryb w mojej rzece. I innym rybakom

w okolicy masz to moje żądanie powtórzyć, chociaż prawdę mówiąc, nie są oni tacy chciwi jak ty, Kubo! A teraz moje psy wyciągną was z waszą siecią z powrotem na brzeg, za co im pięknie podziękujesz, i odtąd będziesz szanował wszystkie psy. Wszystkie, zapamiętasz? Bo jak słyszałam, jesteś dla nich niedobry i okrutnie się z nimi obchodzisz. A jeśli byś nie usłuchał tego, co ci przykazuję, to te oto moje wierne psiska poszarpią twoje sieci i nie pozwolą ci więcej łowić w tej rzece.

Kiedy to mówiła, obydwie czarne psy, które przysiadły przy tronie, warknęły tak groźnie, że Kuba skurczył się ze strachu.

— O jasna, wodna królowo, więcej nie będę! — mruczał Kuba. I ze strachu zamknął oczy.

Tymczasem wodna pani podniosła się z tronu i zaczęła się stawać coraz bardziej przejrzysta, jak ta woda w rzece. I wszystko w wodzie naokoło zaraz zawirowało, a ryby nadpłynęły wielką ławicą połyskując srebrem swojej łuski.

Kuba, ciągle z zamkniętymi oczami, mruczał, że na pewno zrobi wszystko według rozkazania, ale zakręciło mu się w głowie i słowa z siebie nie mógł wydobyć. Tylko chwycił Jaśka za rękę, szukając u niego pomocy, i już nie wiedział, co się z nim dzieje.

Ale już w chwilę później przekonał się, że znów leżą na nadbrzeżnym piasku, oblepieni wodorostami, omotani siecią.

— Jejku! — jęknął wystraszony Jasiek. — A to dopiero!

— Ano właśnie — mruknął Kuba, zwany Pazernym. — Musi to była boginka wodna. Jak myślisz, Jasiek?

— Pewnie, że nikt inny, tylko boginka — zgodził się pastuszek.

— Ale piękna była. I dobrze, że nas te szczupaki nie pożarły — dodał. — I myślę, że chyba musicie jej posłuchać, gospodarzu...

— Chyba muszę — westchnął ponuro Kuba. — Ale ty, Jasiek,

61

nie będziesz po całej wsi z ozorem ganiać i opowiadać, jak to było! Ani mi się waź!

Ale pewnie Jasiek nie usłuchał tym razem Kuby, bo już na drugi dzień wszyscy wokoło o tym gadali, a stare babuleńki do dziś opowiadają całą historię wnukom.

-

■

■ ■i3Г.'i-ЛЧi' , vc r- ,- A ■>:
-- , „i»)/,

I

Cielątko Rozalki

ieszkali niegdyś w niedużej wiosce niedaleko Bydgoszczy dwaj bracia. I jak to czasem bywa — jeden z nich żył w dostatku, a drugi w biedzie. Tylko że ten bogaty był bezdzietny, a zaś ten biedny — miał córeczkę jedyną. A że był wdowcem, to zaledwie Rozalka od ziemi odrosła — już była całą gospodynią w ojcowej chacie. I gęsi pasła, i żurek potrafiła ugotować, i koszulinę przeprać. A mądra była nad podziw.

Jej stryj, ten bogaty, był też zarazem i Rozalki chrzestnym ojcem. Toteż kiedy Rozalka skończyła siedem lat, dostała podarek od niego: dał jej na gospodarstwo jałówkę. Ale pożał się Boże, jaka to była jałówka! Ledwie się na nogach trzymała. Rozalka jednak pięknie stryjкови podziękowała i jałówkę zabrała do obórki.

Dbiała Rozalka o tę chudzinę, jakby to była najpiękniejsza jałówka na świecie. Wyganiała ją na pastwisko, siana dawała, poiła świeżą wodą, czyściła i oprzątała, tak że wreszcie jałówka wyrosła na piękną krowę. Chyba najpiękniejszą w całej okolicy. I w dodatku wkrótce miała małego cielaka. Cielak był biały, łaciaty, a wesoły niczym psiak.

Zobaczył któregoś dnia bogaty stryj tego cielaka i do Rozalkowe-go tatula przyszedł z żądaniem:

63

— Oddajcie mi tego cielaka — mówi — bo on jest mój.

— Jakże wasz? Przecieżeście, mój bracie, Rozalce darowali ona jałówkę.

— Jałówkę darowałem, a jakże, nie będę się zapierał — powiada bogaty stryj — ale podarowałem bez przychówku. To wobec tego przychówek mnie się należy.

— Ale przecie kiedy jałówka jest Rozalki, to i cielak przynależy do niej!

Od słowa do słowa, tak się zaczęli sprzeczać, że aż do wójta poszli, żeby ich rozsądził. A był to wójt uczony. I w książkach umiał czytać.

Wójt w głowę się poskrobał, myśli, myśli, aż w końcu tak powiada:

— Trudna to sprawa do rozsądzenia. Każdy z was ma swoją rację. Ale rzekę wam tak: ten z was cieleń dostanie, kto trzy zagadki odgadnie. Pierwsza zagadka jest taka: co jest najszybsze na świecie? Jutro przyjdziecie z odpowiedzią.

Wrócił biedak do domu i smutny siedzi na przyzbie.

— Czego się, tatusiu, frasujecie? — pyta Rozalka.

Ojciec więc powtarza jej, co rzekł wójt. Jakże tu odpowiedzieć na taką zagadkę?

— Połóżcie się, tatusiu, spać — poradziła Rozalka — a jutro rano powiem wam, co wójtowi macie rzec.

— No i co — pyta wójt, gdy się przed nim obaj bracia stawili
— co jest najszybsze?

— Mam konia tak szybkiego, że go nikt nie przegoni —
wyrwał się z odpowiedzią bogacz.

Wójt zaśmiał się i pyta biednego:

— A ty co powiesz?

— Myśl jest najszybsza na świecie. W jednym mgnieniu oka
tysiące mil przeleci.

Zdziwił się wójt, pokiwał głową i powiada:

— Dobrze! A teraz druga zagadka: kto jest najbogatszy na
świecie? Wrócił biedak do domu i mówi do Rozalki:

— Hm, spodobała się twoja odpowiedź wójtowi. Ale teraz
drugie

64

pytanie zadał: kto jest na świecie najbogatszy? A skąd ja mogę
to wiedzieć?

— Pomyślę, tatusiu, co macie jutro rzec wójtowi, a tymczasem
spokojnie do snu się połóżcie.

Stanęli na drugi dzień bracia przed wójtem, a ten powtarza
pytanie.

— Król jegomość jest najbogatszy na świecie! — woła bogacz.

— A ty co powiesz? — pyta wójt biedaka.

— Ziemia jest, panie wójcie, najbogatsza, bo wszystkich ludzi żywi i skarbami różnymi obdarowuje. A skarby te są niewyczerpane.

Zadziwił się wójt tą odpowiedzią, pokiwał głową i zadaje trzecie pytanie: co jest najmilsze na świecie?

— No i co rzekł pan wójt? — pyta Rozalka ojca po powrocie.

— Ano, odpowiedź ta, coś ją mi podszepnęła, bardzo mu się spodobała, ale jeszcze jest trzecie i ostatnie pytanie: co jest najmilsze na świecie? Jakże to odgadnąć?

Rozalka roześmiała się tylko.

— Nie bójcie się, tatku. Pomyślę sobie przez noc, a jutro wam powiem, jak trzeba odpowiedzieć.

Poszedł więc biedak w oznaczonej porze do wójtowej chaty, a we wrotach spotkał bogacza. Bogacz odepchnął go, pierwszy wpadł do obejścia i od razu woła:

— Ja wiem, panie wójcie, co najmilsze na świecie.

— No co, kumie?

— Ano, pieniądź jest najmilszy, bo za niego wszystko kupi. Pokręcił wójt głową. Jakoś mu nie w smak widać była ta odpowiedź.

— A wy co rzekniecie? — pyta biedaka.

— Słońce jest najmiłsze na świecie. Bo i ciemność rozjaśnia, i chłód zwalcza. A świeci jednako i biednym, i bogatym.

Roześmiał się wójt i rzekł:

— Mądrą dałeś odpowiedź. Twoje więc jest łaciate ciele.

Tak się ta historia skończyła. A od tego czasu owa wioska pod Bydgoszczą Ciele została nazwana.

5 —Byto, niebyło...

Jak powstały Karpaty

dawnych, prapradawnych czasach najbliższym sąsiadem Ziemi Krakowskiej było Królestwo Olbrzymów. Mieszkańcy tego kraju nie byli olbrzymami, ale rządziło nimi siedemdziesięciu siedmiu wielkoludów. Na ich czele stał król, który był największym wielkoludem. Tych siedemdziesięciu siedmiu olbrzymów miało niezwykłą moc. Jeśli któryś z nich powiedział słowo „tak”, to natychmiast wyrastała z ziemi wielka skała, a jeśli wymówił słowo „nie”, w tej samej chwili otwierała się głęboka przepaść. Taki to już był dziwny i zaczarowany kraj.

Był to też kraj pełen dostatku, bogaty. Ale kiedyś, gdy zebrała się wielka królewska Rada Siedemdziesięciu Siedmiu Olbrzymów, jeden z nich podał myśl, aby powiększyć królestwo.

— Zagarnijmy Ziemię Krakowską — rzekł.

Król skinął głową przyzwalająco i tylko jeszcze zapytał resztę panów z Rady o zgodę. A wówczas wszyscy oni odpowiedzieli jednogłośnie:

— Tak!

Ledwie zaś wypowiedzieli to słowo, siedemdziesiąt siedem gór z ogromnym hukiem wydobyło się z ziemi. A tak były wysokie, że szczyty ich ginęły w obłokach.

W tej samej chwili owi panowie Rada, z królem na czele, za to, że chcieli zabrać cudzy kraj, utracili swoją czarodziejską moc.

Zniknął i zamek królewski, a zasiadający w Radzie olbrzymi w oka mgnieniu zaczęli się kurczyć. Ciała ich jeły pokrywać się łuską. Nie minęło wiele czasu, gdy z całej Rady olbrzymów zostało tylko kłębowisko węzów na szarej, skalistej ziemi. Jedynie król jaśniał pośród nich srebrną łuską i diamentowym czubem.

Niewielkie było teraz jego węzowe królestwo. Rozciągać się miało tylko tak daleko, jak daleko sięgnąć mógł wzrokiem, aby dojrzeć krzątających się przy pracy na polu ludzi i rozróżnić, którzy z nich mają na sobie szare, a którzy białe gunie.

Wszystko to wydarzyło się przed wieloma wiekami. A potem całe królestwo węzowe porosło lasem smreków i zmieniło się w nieprzebytą puszcę, która po dzień dzisiejszy przetrwała. Nad ową zaś puszcą ciemnieją, słowem olbrzymów z głębi ziemi wydobyte, szczyty górskie nazwane później Karpatami.

Powiadają też ludzie, że onże srebrnołuski król węzów usiłuje z trudem wielkim wczołgać się na te szczyty, aby patrząc z góry na swe królestwo, jak największą jego połąć wzrokiem ogarnąć i przez to jak najrozleglejszym je uczynić. A zaś na wierchach, przez które węzowy król się przesunął, żadna drzewina nigdy nie urośnie, tylko skały lśnią jego srebrzysto-diaamentowym śladem.

Jak Sobanek płanetnika gościł

ieszkał ongiś w Zakopanem gazda, zwali go Sobanek. Lubili go wszyscy, bo majster był zdatny do każdej roboty i muzykant nie byle jaki. A chatę miał opodal młyna, tuż nad potokiem.

Wyszedł więc któregoś dnia ten Sobanek na przyzbę, na Gładkie spogląda i widzi, że chmura ogromniasta, czarna, zawisła od tej strony na niebie i gradem zaczyna sypać, wielkim jak gołębie jaja. A wśród tego gradu chłopaczysko jakieś nieznanome przed chatą stoi. Nie wiadomo, skąd się wziął. Z gołą głową, bosy, w portkach tylko i w serdaku. Trzęsie się z zimna i zębami szczeka. Ulitował się nad nim Sobanek.

— Pójdźże, nieboraku — powiada — ogrzejesz się w chacie. Przy kominie go sadza, drew dorzuca, żeby cieplej było. Ale chociaż ogień na kominie coraz większy i w izbie coraz cieplej, chłopaczysko zamiast schnąć, coraz bardziej zmoczony siedzi. Strugi wody przez całą izbę płyną. Pomiarkował coś Sobanek, cap! chłopaka za kark i za próg go wypchnął. Chłopak zatoczył się i do potoku, co przy chacie szemrał, wpadł aż po pas. A ledwie wpadł, to roześmiał się, aż mu białe zęby błysnęły, i gada:

— Wiecie, Sobanku? Strasznie mi teraz dobrze, tyle żebym co podjadł.

68

— To siedź, kiedy ci dobrze — mówi Sobanek.

Do chaty skoczył, wyniósł placka owsianego kawał i bryndzy baryłkę.

Zjadł to wszystko do ostatniego okruszka onże dziwny chłopak i pyta:

— A dałbyś jeszcze? Ja ci się za to odwdzięczę.

Dał mu więc Sobanek jeszcze i bryndzy, i mleka słodkiego garnuszek. I odtąd go żywił, a ten cudak tylko w potoku siedział, śmiał się na całe gardło z byle czego i pogodę przepowiadał. Jak powiedział, że będzie deszcz albo mgła, albo że krupy gradowe się posypią, to nigdy nie skłamał. I Sobanek już wiedział, że to jest płanetnik — to znaczy taki, co deszczem, śniegiem i chmurami rządzi.

Czasem to Sobanek chwalił sobie tego dziwnego gościa, ale czasem to już i cierpliwość tracił, bo chłopaczysko różne figle płatał: a to koło młyńskie zatrzymał, a to dziewczuchy wodą oblał.

Aż kiedyś w nocy obudził się Sobanek i widzi, że drzwi się do chaty otwierają i płanetnik wchodzi. Skrada się po cichu i skórę świńską, co na ławie leżała, zabiera. Nic Sobanek na to nie powiedział, tylko wychodzi za nim popatrzeć, co z tego będzie. A płanetnik siadł na skale, nogi sobie skórą ową owinął i bretnał, co go z podcienia wyciągnął, kierpce sobie szyje. I tak gada:

— Świeć, miesiączku, świeć, abym sobie piękne kierpce wyszykował.

— Ejże — odezwie się naraz Sobanek — a kto ci dał skórę na te kierpce?

— Nie gniewajcie się, gazdo, potrzebne mi są, bo w drogę się wybieram. Już mnie moi wołają. A za waszą gościnę postaram się wam odwdziaczyć.

Nazajutrz zaczął padać śnieg. A płanetnik posmutniał, jeść nie chciał, tylko coraz ku Orawicy spoglądał.

Potem zaś na Wałcocki Wierch zaczął iść. A Sobanek za nim. Kiedy zaś już na samym szczycie byli, to płanetnik zaczął w kółko chodzić coraz to prędzej i prędzej, aż wreszcie mgła gęsta zasnuła góry i go zabrała.

69

Niedługo jednak było tej mgły. Rozeszła się, słońce znów się pokazało i przez dwa tygodnie całymi dniami świeciło ludziom na pociechę. Aż wreszcie któregoś dnia, w samo południe, gdzieś nad Szaflarami zaczęło grzmieć. Wiatr zaczął dąć i czarna chmura nadeszła od Poronina. A grzmiało, a huczało, aż strach! Sobanek na skałę wyszedł, głowę zadarł i dalej wołać do płanetnika:

— Zabieraj się z tą chmurą z powrotem! Idź, skądś przyszedł. Pomnij na gościnę moją!

— Kiedy nie mogę, bo wiatr mnie pędzi! — odezwał się z góry płanetnik.

— A coś obiecał? Nad hale zawróć, kiedy inaczej nie możesz.
Tylko ludziom szkody nie rób!

Zakotłowała się chmura, nad Giewontem się okręciła i zawróciła — hen na hale. Ulewa wtedy była, jakiej ludzie najstarsi nie pamiętali. Oberwał się wtedy Skupniów Upłaz i aż Pięć Stawów Polskich z tej ulewy powstało — ale Zakopane ocalało. A to wszystko dlatego, że płanetnik Sobankowi za gościnę chciał się odwdzięczyć.

■

■i

Jak Bartuś z wiatrem gonił

darzyło się to w dawnych czasach. Tak dawnych, że nikt dziś ich nie pamięta. Otóż w owych czasach, pewnego dnia już z samego rana, zaczął dąć nad Zakopanem wicher. Przyleciał ze swoim małym synkiem hen, aż zza Tatr, i dalej hulać wśród gór i po dolinach. Rozochocił się tak, że drzewa z korzeniami wyrywał, głązy z gór strącał, zrywał dachy z chat góralskich i przewracał ludzi.

A ten jego mały synek razem z nim harce wyprawiał. Tak jak ojciec, swoje małe rączki rozkładał niby skrzydła, od gór nogami się odbijał i ze szczytu na szczyt skakał. Próbował też i

dmuchać tak jak ojciec, ale że nie był jeszcze taki silny, to tylko trawy do ziemi swoim tchnieniem przyginał i osypywał kwiatki z kwitnących drzew.

Przez dwa dni trwały te ich gonitwy, aż wreszcie zmęczeni się obaj i zbiegli w dolinę. Przysiedli na zielonej trawie akurat tam, gdzie jest Bystre, i poglądnęli bacznie dokoła. A stała tam wtedy, bo było to — jak wiadomo — bardzo, bardzo dawno temu, więc stała tam wtedy chata Obrochtów.

Chata jak to chata góralska. Z drewnianych bali zbudowana, z za-ciosami, w środku w lełujki i serki rzeźbiona, a dach miała z drewnianego gontu, zarastający zielonym mchem. Przed chatą — jak to

71

w gospodarstwie — stał cebrzyk z maślaną, a pod dachem w białych szmatkach wisiały serki, co je gospodyni, Jagna Obrochtowa, powiesiła, żeby obeschły. Kiedy więc wicher ze swoim synkiem sturlali się po trawie aż pod samą chatę Obrochtów i poczuli, że głód im dokucza, to migiem wypili wszystką maślanę i zjedli wszystkie serki, i tylko te szmatki białe, co po serkach pozostały, dla większej psoty porozrzucali po łące. A potem, że im się spać po jedzeniu zachciało, przytulili się na dachu, chociaż był stromy, i zasnęli. Bo wiatry — wiadomo — lubią sypiać na dachach, zwłaszcza zaś kiedy dach, tak jak ten u Obrochtów, jest porośnięty miękuśkim jak aksamit

mchem. Tak więc na dachu smacznie sobie zasnęli, jako że nocka nadeszła.

Byliby spali może i ze dwa dni, ale na drugi dzień z samego rana obudził ich okrutny wrzask. Hej, taki to był wrzask, że srogie wicher-rzysko ledwie śmiało z dachu w dół ostrożnie spoglądać. A nikt inny to nie krzyczał, jak sama gaździna Jagna Obrochtowa. Stała przed chatą, wzięła się pod boki i uraga:

— Patrzcie go, patrzcie, jaki to szkodnik bezecny to wietrzysko. Cebrzyk wyrócił, serki porwał i poniósł licho wie gdzie, ino szmatki po nich zostawił. Poczekaj, ty ladaco!

— Nic tu po nas — mruknął na to wiatr.

Bo chociaż to był bardzo potężny wiatr, ale bardzo nie lubił babskiego urągania. I tak mu to było nie w smak, że zaraz poderwał się z dachu, dmuchnął ze słości na Obrochtowa, aż jej spódnice zafurkotały, i uniósł się nad chatą. Jego mały synek też się obudził. I właśnie siedział na kalenicy i przeciągał się, bo nie dospał, i wcale mu się nie chciało stąd odlatywać, kiedy naraz z chaty wybiegł mały Bartuś Obrochtów.

Stał obok matki, głowę zadarł do góry i zawołał:

— Hej ty, wietrze zbereźniku! Dam ja ci tu szkody robić! Poczekaj ino!

Potężny wicher nie zląkł się Bartusiowych pogróżek i tylko w nos mu dmuchnął, ale jego synek aż podskoczył z uciechy, kiedy zobaczył Bartusia. I zaraz zaczął prosić ojca:

— Oj, tato! tato! Ja tu zostanę w dolinie. Będę się bawił z tym chłopakiem!

— Niech będzie, jak chcesz — zgodził się wicher. — Wolisz w tej dolinie zostać, to zostań. Ja muszę lecieć w świat szeroki. Nad morza, nad dalekie oceany będę teraz leciał. Czy nie chcesz zobaczyć wielorybnych statków?

— Nie — pokręcił głową jego mały synek.

— A może wolisz zobaczyć białe niedźwiedzie i stada fok na Oceanie Lodowatym?

— Już widziałem przecież!

— A potem polecę nad dalekie pustynie. Tam będą lwy i słonie.

— Kiedy ja wolę bawić się z tym chłopakiem — upierał się mały wiatr.

— Ha, to trudno, zostań, synu!

I wicher zaświstał na pożegnanie, zamachał rękami, odbił się piętami od dachu Obrochtowej chaty tak, że w jednej chwili był na Kasprowym, a potem dał susa na Giewont i tyle go mały synek widział. Chmury tylko na niebie się skłębiły. Krzyknął więc mały:

— Do widzenia, tato! Przyleć kiedy do mnie w odwiedzin!

A potem zeskoczył z dachu na ziemię. Przysiadł na pniaku przed chatą i przygląda się, co Bartuś robi. A Bartuś też przysiadł na progu chaty. Matka wyniosła miskę z kaszą, postawiła mu na kolanach, dała w garść łyżkę drewnianą i powiada:

— Jedz, synku, na zdrowie.

Zaczął Bartuś zajadać kaszę. Smaczna była ogromnie, ale Bartuś żadnego ziarenka na łyżce utrzymać nie może, bo na wszystkie strony ta kasza mu się rozsypuje.

— Co to? — wrzasnął rozgniewany. I łyżką w miskę prasnął. Wtem usłyszał, że ktoś się śmieje. Cieniutkim głosem — niby to śmiech, a niby gwizdanie.

Obejrzał się Bartuś w prawo — nikogo nie ma. Obejrzał się w lewo — też nikogo nie widać. A śmiech znów słychać. I jakiś głos cienki woła:

— Tu jestem! Tu!

73

— Kiedy cię nie widzę — mówi Bartuś.

— Nie widzisz mnie, ale słyszysz — powiada ten wiatrowy syn. I jak nie gwizdnie, jak nie zaświszcze. Aż Bartuś uszy zatkał. — No, jak ci się moje świstanie podoba? — pyta wiatr.

— Niczego świstanie, ale ja też tak potrafię.

Bartuś tak na palcach zaświstał, że w uszach zaświdrowało, a wróble przestraszone uciekły. Bo myślały, że to burza nadciąga.

— Pięknie to robisz — pochwalił wiatr. — A jakieś taki do gwizdania zdatny, to będziemy się razem bawić.

— Jakże będziemy się bawić, kiedy cię nie widzę — rozgniewał się Bartuś.

— Hi, hi, zaraz mnie zobaczysz. Przecie siedzę naprzeciw ciebie, na pniaku! Tylko aby popatrz dobrze!

Patrzy więc Bartuś, a tu wokoło pniaka zakręciły się w powietrzu zeszłoroczne liście, przygięły się trawy i naraz na pniaku chłopak siedzi. Nieduży, trochę większy od Bartusia, ale jakiś cudak. Włosy ma jasne, na wszystkie strony rozwiane, oczy wesole, a policzki nadyma — ni to gwizdże, ni to dmucha.

— A co ty za jeden jesteś? — zdziwił się Bartuś.

— Ja jestem wiatr — mówi ten cudak — tyle że jestem jeszcze mały. Bo mój ojciec to jest wielki wichur, wiesz teraz?

— Jak mi powiedziałaś, to wiem! Ale mi w kaszę nie dmuchaj, bo tego nie lubię.

— Właśnie że będę dmuchał! — świsnął wiatr. I dalej dmuchać na miskę.

Rozsypała się kasza po trawie na uciechę wróblom, które rzuciły się na nią łakomie.

Rozgniewał się Bartuś na dobre. Rzucił łyżkę, poderwał się z progu i dalej gonić cudaka, co się wiatrem nazywał. Ale cudak chyżo uskoczył w górę, przysiadł na kalenicy i prześmiewa się:

— He, he, jeszcze się taki nie narodził, co by wiatr przegonił albo schwytał.

— To się jeszcze pokaże — mruknął Bartuś.

Przyczaił się za węglem i czeka, żeby wiatr z dachu zeskokczył.

74

Ale wiatr był chytry i prosto z dachu dał susa na pobliski świerk. Siedzi na samym wierzchołku i z Bartusia się prześmiewa.

— Gdzie ci tam wiatr chwytać! I drzewiną trzęsie okrutnie.

Wyszła z chaty Jagna Obrochtowa, Bartusiowa matka, rozgląda się wokoło i nadziwić się nie może, czemu to świerk tak się chyboce. Rety! A teraz znów jabłonka gałęzie ma roztrzęsione!

— To wiatr, matulu — woła Bartuś — ale ja go złapię. Złapię tego zbereźnika!

— Gdzie ty dasz radę, synku — roześmiała się Obrochtowa. — Wiatru jeszcze nikt nie schwytał.

— A właśnie że mu dam radę i schwytam. Jak nie dziś, to jutro. Albo może za miesiąc. A jak nie za miesiąc, to może i za rok, ale schwytam!

— Hihihihhi! — zaśmiał się na to wiatr i szurgnął w zarośla.
— Jeszcze zobaczymy, chwalipięto! Chcesz się dalej gonić, to mnie łap!

Dmuchnął Bartusiowi w oczy, czuprynę mu potargał i hops! — już turla się po trawie. Goni go Bartuś, goni, już go za nogę chwyta, ale gdzie tam! Wiatr wysmyknął się i już na studni siedzi.

— Siedź sobie, siedź — zezłościł się Bartuś i sam też przysiadł na kamieniu, bo się trochę zmęczył.

A wiatr już zeskoczył ze studni, psa Burka za ogon zakręcił i doskoczył do płotu, gdzie Obrochtowa rozwiesiła białe koszule. Dopiero co je wyprała i chciała, aby się pięknie na słońcu wybieliły, ale gdzie tam! Wiatr z płotu je porwał, w górę podrzucił i hen, po gałązkach drzew pouczepiał.

— Poczekaj ty! — rozeźlił się Bartuś. — Już ja na ciebie znajdę sposób. Już ja ci dam radę!

— Jak mi dasz radę, to już potem będę ci posłuszny — zaświstał wiatr. — A teraz, jak chcesz, możemy się jeszcze dalej bawić.

— Czemu nie! — zawołał Bartuś. — Ja do zabawy jak owca do trawy. — I buch! Rzucił szyszką w cudaka. A wiatr za to liśćmi w niego sypnął.

Tak się od tego czasu co dnia bawili i gonili. Najpierw po wiosennej trawie się turlali i sypali w siebie kwiatami dzikich jabłonek. Latem szukali się po zagonach dojrzewającego owsa, pohukiwali po ciemnym lesie, biegali po łąkach. Jesienią wiatr niósł i rozsypywał zeschnięte liście, a Bartuś czaił się na niego za małymi świerkami, bo chciał go niespodziewanie schwytać. A kiedy się Bartusiowi z chaty nie chciało wyrzeć i po słońcu biegać, wtedy wiatr pukał w małe szybki i wzywał go do zabawy. Albo wył w kominie i w ogień dmuchał.

Zimą też trwała ich zabawa. Wiatr sypał wtedy w Bartusia śniegiem, a Bartuś rzucał w niego śnieżkami. Wiatr za kołnierz mu dmuchał, a Bartuś nic sobie z tego nie robił, tylko z góry na sankach zjeżdżał z wiatrem na wyścigi i wesoło pokrzykiwał.

Tak było, póki Bartuś był mały. Ale kiedy na tych zabawach minął jeden rok i drugi, i jeszcze parę, Bartuś podrosł przez ten czas i był śmigły jak smrek a silny jak dębczak. Nie tylko na Bystrem, ale i w całym Zakopanem nie było juhasa, co by od Bartusia był w robocie chybszy a w zabawie weselszy. Taki wyrósł ten Bartuś nad podziw udany.

A wiatr też rósł. Razem z Bartusiem. Już teraz nie był to mały wietrzyk, co mu tylko psoty były w głowie, ale wyrósł na wichrzysko mocne, prawie takie jak ten jego ojciec, co to po pustyniach i oceanach hulał. Ale nie ustały jego zabawy i zawody z Bartusiem. Nieraz ścigali się po dolinach, nieraz mocowali się z sobą albo próbowali przyginać do ziemi wierzchołki drzew. Albo gwizdali obaj dla uciechy albo czasem

i na złość. Jednak nigdy nie mógł Bartuś Obrochta, choć był juhas nad juhasy, dać rady wiatrowi. Więc martwił się tym i tylko zęby zaciskał, aż któregoś dnia tak powiada:

— Poczekaj ty, wietrze, jeszcze przyjdzie taki czas, że cię przychwycę albo że się w czymś lepszy od ciebie pokażę i radę ci dam. Bo tak sobie poprzysięgłem na mój honor.

Wietrzysko przysiadł opodal chaty na wielkim kamieniu, poświstuje, patrzy na Bartusia z ukosa, wreszcie powiada:

— Zgoda! Niech tak będzie. Hardy jesteś juhas i dlatego cię lubię. Ale jak chcesz mi dać radę, to niech to będzie do trzech razy sztuka!

Przystał na to Bartuś i tak się zgodali, że najpierw będą próbowali, który potrafi piękniej gwizdać.

Sztuka to niełatwa, bo wiadomo, że wiatr w gwizdaniu wprawny. I w kominie potrafi gwizdać, i po dolinie umie poświstywać, i między drzewami smutnie zawodzić, a znów czasem między gałązkami jabłonek cichutko zagwizdże. Majster on w tym nie byle jaki. Więc i Bartuś Obrochta musiał się nie byle jako do gwizdania sposobić. Ale że ze wszystkimi ptakami był w zgodzie, więc do nich z wiosną poszedł na naukę. Od skowronków uczył się tiurlikania, od wilgi wesołych poświstywań, a od słowików najpiękniejszego wyciągania nutek. A jak się już poduczył, to właśnie tak dobrze pod jesień wiatr przywiał od Karkonoszy, przysiadł na kalenicy i pyta:

- No cóż, będziemy gwizdać?
- Czemu nie? — powiada Bartuś.
- A kto będzie nas sądził? — pyta wiatr.
- Ano ludzie z wioski.

Zgodził się wiatr i zaczyna pogwizdywać.

Gwizdże i świszczę, i patrzy wokoło, czy wszyscy podziwiają, jakie to piękne gwizdanie. A ludzie z chat wychodzą i powiadają:

— Rety! A cóż to za wichrzysko tak dmie. Na deszcz czy co? Nastawił wiatr ucha, głową kręci.

— Nie podoba się wam? — powiada i zaczyna cieniej poświstywać.

Nasłuchują ludzie i kiwają głowami.

— A to ci smutno zawodzi! Aż płakać się chce.

Więc wiatr, żeby się przypodobać, jeszcze cieniej poświstuje, jeszcze ładniejsze nutki wyciąga, ale gdzie tam! Liście tylko z drzew zaczęły szybciej opadać, a ludziom żałośnie zrobiło się na sercu.

Naraz rozległo się gwizdanie tak piękne, jakby się ptaki rozświer-gotały. A to tiurlikanie, a to pogwizdywanie wesołe, a to nutki serdeczne, jakby słowicze. Popatrzeli ludzie, posłuchali i pytają:

— Co to za ptaki tak cudnie śpiewają?

77

A drzewa i krzewy myślały, że to wiosna się wróciła jesienią, i zaczęły rozkwitać.

Zeskoczył wiatr z Obrochtowej chaty i powiada:

— No, tym razem wygrałeś. Pięknie potrafisz świstać. Ale teraz w tańcu zobaczymy, kto piękniej tańczy.

— Dobra — zgodził się Bartuś. — Będziemy w niedzielę tańcowali.

Nadeszła niedziela i pod wieczór rozpalili juhasi ognisko na łące w dolinie Bystrego. Przyszła kapela i dalej grać zbójnickiego. Przyleciał wiatr i woła do Bartusia:

— Popatrz teraz, jak ja będę tańcował.

Zaczął najpierw drobić przy ognisku, aż ogień przygasł, a potem zaczął przez ten ogień skakać. Płomienie przygasały od tych wichrowych skoków, dym i swąd zaciągnęły się po łące, a gazdowie, co wokoło siedli, powiadają:

— A cóż to za niedojda i cudak tak skacze, że ogień przygaszą!

Tak powiedzieli gazdowie. A wtedy, jedną ręką pod bok się ująwszy, z siekiereczką w drugiej ręce, poszedł tańczyć Bartuś Obrochta! Świecie ty wielki! Jeszcze takiego tańcowania to chyba nie było. Drobił Bartuś nogami obutymi w kierzpce tak pięknie, że chyba na całym Podhalu nikt tak nie potrafił.

Tańczył drobno, drobnusień-ko, a lekko, a zwinnie. A potem zakrzyknął gromko, siekiereczkę podrzucił w górę i skoczył przez ogień. Skoczył raz i drugi, i trzeci. Dziwują się ludzie okrutnie, płomienie wesoło trzaskają i też coraz jaśniej buchają. Patrzcie, patrzcie, jak to Bartuś Obrochta tańczy!

Przysiadł wiatr pod drzewem i powiada sprawiedliwie:

— Jakem wiatr, tak honorowo ci rzekę, żem jeszcze takiego tańcowania nie widział. Ale jeszcze mnie nie zwyciężyłeś. Bo jeszcze nikt wiatru w polu nie schwytał. A w polu jutro będziemy się gonili.

Otarł Bartuś czoło, bo był po tańcu rozgrzany, i tylko się śmieje.

A nazajutrz niebo było pokryte chmurami ciemnymi, szarymi, tak że słońca nie było widać. Ledwie Bartuś przed chatę wyszedł, wiatr, co na dachu siedział, zeskoczył i przypomina mu:

— To idziemy, Bartuś, na pole?

78

— Idziemy — mówi Bartuś.

Pobiegli na to pole, a wiatr jak nie puści się pędem i woła:

— Goń mnie teraz!

Pobiegł za nim Bartuś raz w kółko, ale wiatr umyka mu, bo niełatwo jest wiatr w polu schwytać.

— Poczekaj — powiada więc Bartuś — jeszcze cię dogonię. A wiatr znów koło niego polatuje i zaprasza do gonitwy. Naraz patrzy Bartuś, a od gór w dolinę pędzą pasterze owce. Poskoczył wiatr w stronę stada, owcom wełnę rozdmuchuje, małego pastuszka obalił — tak dmie. Bartuś za nim biegnie niby ta kozica, z kamienia na kamień skacze. A stado owcze kręci się w miejscu, wystrachane wiejącym wiatrem, i pył na drodze podnosi. Wielgachny obłok szarego kurzu się podniósł, tak że całe stado zasłonił. Roześmiał się wiatr, zadowolony z takiej psoty, i woła do Bartusia:

— Łap mnie, łap, kiedyś taki harnaś.

Ale patrzy wiatr i patrzy, a Bartusia nigdzie nie widać. Więc szukać go zaczął i szybko dał nura w ten cały obłok kurzu, co go owcze stado podniosło. Załaskotał go ten pył w nos, więc kichnął wiatr potężnie, co zabrzmiało jak grzmot po górach, kichnął i drugi i z tego kichania spadł na owcze grzbiety. Nawet roześmiał się, bo mu miękko było na tej owczej wełnie, kiedy naraz wrzasnął. Poczul, że go coś za nogę trzyma.

— Puść, co to? — wyje wiatr.

— A nie puszczę — mówi na to Bartuś.

Bo to nikt inny, tylko on sam, wśród owiec ukryty, chwycił wiatr za nogę. Szarpnął się wiatr, gniewny, że go Bartuś

Obrochta przecież w końcu złapał. Szarpnął się jeszcze raz, zaszamotał, a potem z całej siły poderwał i skoczył w górę. Wysoko! Aż nad Cyrłę! I nawet się nie spostrzegł, że przy tej szarpaninie zgubił swoje piękne kierpce. Dopiero kiedy dla odpoczynku przysiadł na Kasprowym zobaczył, że jest bosy.

— Hej! hej! — krzyknął nieznajomy. — A gdzież to, gdzież moje kierpce? Gdzie one?

Zeskoczył więc z powrotem w dolinę i dalej ich szukać. Całą

79

Kościeliską przeleciał w cztery strony, aż się pył podnosił ogoniasty, a potem na Bystre, a kamieniami ze złości sypał. A kierpcy nigdzie nie było. Pewnie owce, co wtedy stadem biegły, w ziemię je wdeptały albo może do strumienia te kierpce wpadły. Kto wie?

I po dzisiejszy dzień nie wiadomo, gdzie się one podziały. Tylko wiatr co jakiś czas, kiedy już po świecie się naugania, przypomina sobie o nich, nad Zakopane przylatuje i po dolinach ich szuka.

Ludzie wtedy mówią, że wieje halny. I w takie dni siadają wieczorem przy kominie, pykają fajki i przypominają sobie o Bartusiu Obrochcie, co wiatrowi dał radę.

•

•

Skarby w Tęczynie



ardzo starzy ludzie opowiadali zawsze, że w ruinach zamku w Tęczynie ukryte są skar-by.

— Ho, ho — powiadali — skarby to są tak ogromne, że gdyby je kto znalazł, to do końca życia by mu wystarczyło na wszelki dostatek. Próbowali więc różni śmiałkowie odnaleźć drogę do podziemi, w których te drogocенności miały być schowane, ale nikt nie ośmielił się wejść bodaj do pierwszej piwnicy. Bo powiadali także, że strachy tam są okropne. Aż wreszcie znalazł się jede%n taki chłopak, który sobie powiedział, że niczego się nie ulęknie, a skarby znajdzie. I wybrał się do ruin zamkowych.

Noc była wtedy księżycowa, jasna, droga do zamku w Tęczynie łatwa do znalezienia. Chłopiec szedł śmiało i wcale a wcale się nie bał. Gdy stanął przy wejściu do ruin, zdumiał się ogromnie. Wejście było, jakby na jego przybycie, szeroko rozwarte i pięknie przystrojone, schody wiodące do piwnic wyłożone czerwonym sukнем, zatknięte w ściennych murach łuczywa oświetlały mu drogę. Zszedł więc szybko w dół i znalazł się w pierwszej piwnicy.

Było tam pełno cennych szat w otwartych skrzyniach a także stoły i drogie, pięknie rzeźbione sprzęty, a na straży stały trzy

duże czarne psy. Warczały groźnie i zdawało się, że lada chwila rzucą się

6 —Było, nie było.

81

na śmiałka. Ale chłopiec nie zląkł się psów. Zawołał na nie, podszedł bliżej, pogłaskał po ogromnych łbach i psy, łaszac się, przypadły mu do nóg. Chłopiec rozejrzał się po pierwszej piwnicy, ale zaraz spostrzegł, że przez nią przejść można do następnej.

Poszedł więc dalej po czerwonym suknie, którym wysłana była droga przez podziemia, i wszedł do drugiej piwnicy. Pięknie tu było, bo wszystko lśniło od srebra. W beczkach i skrzyniach lśniły srebrne pieniądze, wokoło leżały drogie, srebrne naczynia, a na straży tych skarbów stały warcząc trzy ogromne psy, dużo większe od tych, które były w pierwszej piwnicy. I tym razem chłopiec nie uląkł się ich. Śmiało wyciągnął rękę, pogłaskał je i po chwili wszystkie trzy psy łasiły się pokornie do niego. Rozejrzał się chłopiec wśród srebrzystych skarbów i dostrzegł, że w głębi piwnicy znajdują się wrota, za którymi dalej wiodła wyłożona czerwonym sukniem droga przez podziemia.

Pełen otuchy chłopiec powędrował po tym suknie w głąb tęczyńskich podziemi i stanął wreszcie na progu trzeciej piwnicy. Aż oczy przesłonił, taki blask bił od znajdującego się tam złota. Trzy jeszcze większe psy warczały groźnie, a głos ich był tak potężny, że przypominał grzmot wodospadu.

Roześmiał się chłopak, psy warczące pogłaskał i znów szedł po czerwonym suknie, bo droga wiodła jeszcze dalej — do czwartej podziemnej komnaty.

Kiedy wreszcie stanął na jej progu, oczom swym nie chciał wierzyć. Nigdy w życiu nie śniło mu się nawet podobne bogactwo. W piwnicy jasno było, jak w słoneczny dzień, takim blaskiem świeciły rozsypane wokoło drogocenne kamienie. Mieniły się tęczowymi blaskami, przepiękne, różnobarwne. Chłopiec zrozumiał, że dotarł do najgłębszej piwnicy tęczyńskiego zamku, że oto znalazł skarby, o których opowiadali ludzie z okolicy. Już miał się schylić, aby wziąć garść drogocennych kamieni, gdy naraz zobaczył tuż przy swoich nogach pełzającego węża. I tak się tego węża przestraszył, że aż krzyknął!

A za ledwie krzyknął, zgasły wszystkie klejnoty, wokoło zrobiło

82

się strasznie i ciemno, nie było już jasnego światła ani drogi wysłanej czerwonym sukniem. Chłopiec po omacku, z trudem odnalazł drogę do wyjścia, ale już nigdzie w żadnej piwnicy nie było skarbów. Były to bowiem skarby, które mógł zdobyć tylko ten, kto nie znał strachu. I już od tego czasu nikt i nigdy nie szukał skarbów w ruinach tęczyńskiego zamku.

J '^ "-■./, i ;:, '!■->, ■ v,.-■' i ••. ^i J' \i.-Kiv.

Jak się diabeł uczył...

z tego to ludzie nie opowiadają... Niby niemożliwe, a przecież zdarzyć się może. Tak, jak to się zdarzyło dawno, ale to bardzo dawno temu w jednej wsi na Mazurach pruskich. Mieszkała tam pewna urodziwa wdowa, a że jej nieboszczyk mąż zwał się

Bonifacy, więc ją zwali wszyscy — Bonicha. Otóż ta Bonicha była nie tylko u-rodziwa, ale także strasznie mądra i chytra. Taka była chytra, że jak ludzie gadali, nawet sam diabeł chciał z nią spółkę robić i od niej chytrości się uczyć. Plotki chodziły po wsi, że przychodził do niej na zalecanki i namawiał ją a namawiał, aż wreszcie tak ją znudził tym molestowaniem, że się w końcu zgodziła i do spółki przystąpiła.

A diabeł? Tylko chude łapy teraz zacierał i podskakiwał z radości. I od razu do sprawy przystąpił — żeby się we dwoje, znaczy on z Bonichą na kradzież wybrali. Od jednego bogatego chłopca, tego Kaspra co ma zagrodę w drugiej wsi, prosiaki zabiorą i potem nimi się podzielą.

— A idźże diable! — oganiała się Bonicha — bo gniewna była, że ją do bezceństwa namawia. Ale diabeł tak nastawał, tak nudził, że wreszcie zgodziła się, bo dość miała diabelskiego skomlenia.

— Niech ci będzie — powiedziała. I zmówili się, że w pierwszą

84

noc, kiedy księżyc za chmurami się skryje, wyruszą na tę złodziejską wyprawę.

Niedługo czekali, aż nadeszła noc pochmurna i ciemna, a oni na dwie miotły, co je diabelec galancie naszykował, wsiedli i polecili hen! nad lasem, nad rzeką, nad polami, do Kasprowej zagrody.

Cisza była wokoło i nawet psy nie zaszczekały, bo je diabelec zaczarował.

Obejście zaś było piękne, a prosiaki w chlewiku, co stał nieco na uboczu, pochrząkiwały przez sen. Jedno tylko było niedobre, że chlewik był zamknięty na zasuwę, której i sam diabeł nie umiał otworzyć. Rzucił więc diablisko na Kaspra najgorsze diabelskie wymysły za to zamykanie, aż wreszcie Bonicha znudzona jego gadaniną powiedziała, że innej rady nie widzi i diablisko, jako że chudzielec z niego, musi wleźć do chlewika przez okienko. I stamtąd ma jej prosiaki podawać. A Bonicha będzie je do worka chować, bo maluśkie one były.

Zawarczał coś tam diablisko, ale posłuchał. Już był we wnętrzu, kiedy naraz coś sobie przypomniał. Wyścibił więc ten swój rogaty łeb przez okienko i pyta:

— A jakże ja potem poznam, które prosiaki będą moje, a które twoje? — Bo tak się umówili, że się potem nimi podziela. — Jakże je odróżnić? Wszystkie do siebie podobne!

I zaraz wyścibił przez okienko z kolei swoją szponiastą łapę, w której prosiaka trzymał.

— Ej, maluśkie one! — orzekła Bonicha. — Ale nie martwcie się kumie — tak się teraz do niego grzecznie i przymilnie odezwała — nie martwcie się. Już ja swoje prosiaki poznam i poznam.

— Niech tak będzie — zgodził się diablisko i dalej podawać prosiaki przez okienko, a Bonicha je do worków pakuje.

— A znaczysz aby te swoje? — zapytał jeszcze dla wszelkiej pewności.

— Znaczę, znaczę. Co ty? Nie wierzysz mi?

Tak to szybko zabrali z chlewika wszystkie prosiaki, a było ich dwadzieścia. Zaraz też diabelec z Bonichą wsiedli na swoje miotły

83

i jazda do domu! Lecą tak, lecą, a kiedy akurat byli nad ciemnym lasem, diabeł znów. sobie przypomniał:

— A jakże wy, moja Bonicho, te swoje poznaczyliście?

— Ogonki im pozakręcałam! Te z pozakręcanymi ogonkami to moje! — zakrzyknęła Bonicha, bo wiatr gwizdał im koło uszu, a diabeł był trochę głuchawy. A kiedy wreszcie wrócili do chaty, w której mieszkała Bonicha, diablisko zatarł z chciwością chude łapy i powiada:

— A teraz, moja kumo, będziemy się dzielić!

— Ano będziemy — zgodziła się — pewnie, że będziemy, tylko worki najpierw porozwiązuj!

Zaraz więc diabeł zabrał się do otwierania worków, z których zaczęły wyłazić prosiaki. A co który wyjdzie — to ma pięknie zakręcony ogonek...

— Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty — liczył je diablisko i swoim diabelskim ślepiom nie wierzył! Aż dziewiętnaście takich się naliczył, i tylko jeden jedyny z nich miał ogonek prosty. I był to prosiak chudy i jakby trochę garbaty.

A diabeł? Już nawet nic na tę babską chytrość nie powiedział, tylko wziął pod pachę tego jednego prosiaka, co na niego przypadał, i wyleciał przez komin. Nic innego, tylko dosyć już miał tej spółki, bo nigdy potem nie wrócił.

Zaś Bonicha? Wydała się za owego Kaspra, co jak wiadomo obejście miał piękne i też wdowcem był. W posagu przyniosła mu, jak powiadano, dziewiętnaście pięknych prosiaków...

Koniusza góra

awno, bardzo dawno temu, mieszkał w Ziemi Kieleckiej rycerz, który zwał się Przybysław. Rycerz Przybysław znany był w całej okolicy, bo był ludzki, nigdy nikogo nie skrzywdził, a przeciwnie — każdemu chętnie służył radą i pomocą. A jeszcze i z tego był znany, że i dla zwierząt był dobry i lubił je bardzo, a szczególnie konie.

Najbardziej zaś ze wszystkich koni, które stały w jego stajniach, lubił białą klaczkę Dosię. A ta Dosią tak znała swego pana i tak do niego była przywiązana, że wystarczyło tylko, aby w dłonie klasnął, a już przybiegała do niego posłusznie. I rżała wtedy cicho a pieszczotliwie.

Szczęśliwie i spokojnie żył rycerz Przybysław z całą swoją rodziną. Dwór miał dostatni i zbiory z pól piękne. Niczego nie brakowało. Ale przyszedł czas, gdy na ziemi polskie napadli Tatarzy. Okryci baraniami skórami, uzbrojeni w łuki i strzały, pędzili na swych małych konikach i niszczyli wszystko po drodze. Palili i rabowali dobytek, ludzi zabierali do okrutnej niewoli, zostawiali za sobą zgliszcza i nędzę.

Wtedy rycerz Przybysław na pierwsze wezwanie królewskie poszedł walczyć z najeźdźcami.

Okrutni Tatarzy nie ominęli w czasie tego napadu i Ziemi Kieleckiej. Zniszczyli wszystko wokoło. Zniszczyli też i piękny dwór ryce-

87

rza Przybysława, spalili zboże na polach. Całe szczęście, że ludność okoliczna, a razem z nią żona i dzieci rycerza Przybysława zdołali w porę ukryć się w gęstych, nieprzebytych lasach.

Bardzo był ubogi dzielny rycerz Przybysław, gdy po wygnaniu Tatarów wrócił do rodzinnego domu. Z całego dobytku nie wiadomo w jaki sposób ocalała mu tylko Dosia, ta biała, ulubiona klacz. Być może pobiegła za ludźmi do lasu, bo była niezwykle mądra. Była też jedyną rzeczą cenną, jaka pozostała biednemu rycerzowi, więc choć go serce z żalu niezmiernie bolało, sprzedał ją przejeżdżającym kupcom węgierskim za garść szczerozłotych dukatów.

Minęło chyba z pół roku — rycerz Przybysław odbudował już swój dwór za owe węgierskie dukaty i zaorał pola. Tylko jeszcze stajen nie pobudował ani obory, ani żadnych innych budynków gospodarskich, bo i dobytku żadnego teraz nie miał.

Krzętał się tak rycerz Przybysław koło swojego zubożałego gospodarstwa, a swoją białą klaczkę ciągle wspominał.

— Takiego konia, jak Dosia, na świecie nie znajdziesz — mówił.

Aż wreszcie, w jakiś jesienny wieczór, gdy siedząc przy kominie znów rozpamiętywał, jak to Dosia posłusznie przybiegała na jego kłaśnięcie, usłyszał naraz tętent koński i rzenie. A rzenie to wydało się rycerzowi znajome: ciche i pieśczośliwe. Wybiegł więc spiesznie przed dwór, spojrzął i zdało mu się, że śni chyba! W szarzejącym zmierzchu dojrzał białą klacz, a za nią stado koni. Ręce rycerza Przybysława same złożyły się do kłaśnięcia, a kłaśnięciu odpowiedziało znajome, radosne rzenie i klacz przybiegła jak dawniej do swego pana.

I tak rycerz Przybysław nie tylko odzyskał swoją Dosię, ale przywiodła mu ona całe stado pięknych koni, które za nią przybiegły. Stepowe to były konie, dzikie, niczyje. A gdy je już oswoił i ujeździł, to potem posiadał najpiękniejszą stadninę w całej Ziemi Kieleckiej, a może nawet i w całej Polsce.

Na pamiątkę zaś tego zdarzenia — miejsce, gdzie mieszkał rycerz Przybysław i gdzie biała klaczka ze stadem koni przybiegła, ludzie nazwali Koniuszą.



Tam, gdzie psy szczekają ogonem

ie zawsze się zdarza, że między sąsiadami panuje zgoda. I tak właśnie było z tym niewielkim miasteczkiem na Pomorzu, które zowie się Czyżewem. Nie wiadomo dlaczego mieszkańcy okolicznych wiosek i pobliskich miasteczek dokuczali swoimi żartami mieszczuchom z Czyżewa i wyśmiewali się z nich przy lada okazji. Naprawdę nie wiadomo dlaczego, bo ci z Czyżewa byli gospodarni i schludni, i uczciwi, tylko nad wszystkim musieli długo pomyśleć. Lubili każdą sprawę na wszystkie strony rozważyć.

Tak więc też było i z tym psem, którego sam burmistrz za drogie pieniądze aż w samym Toruniu zakupił i do miasta przywiózł. Bo trzeba jeszcze i to wiedzieć, że w owych dawnych, przedawnych czasach nikt jeszcze takiego zwierza, zwanego psem, na własne oczy nie widział, tylko słuchy chodziły, że stwór ów, w świecie spotykany, podobno rozumem dużym się odznacza i posłuszeństwem wobec człowieka, a ponadto głos z siebie wydaje zwany szczekaniem.

Jasne jest więc, że kiedy przezacny i nie bojący się byle czego burmistrz ruszył w daleką drogę, aby to zwierzę nabyć i na chwałę miasteczka przywieźć, ludzie czekali na niego wielce zaniepokojeni i ciekawi. Zgromadzili się na rynku i głośno rozprawiali. A było o czym rozprawiać. Przecież trzeba było postanowić, gdzie stanie

buda dla psa, kto będzie szykował dla niego jedzenie, kto będzie czystą wodą napełniał jego miseczkę. Znaleźli się więc tacy, którzy podjęli się postawić budę dla nieznanego zwierza, a jeszcze inni, najbardziej słynący z odwagi, oświadczyli, że będą się troszczyć o posiłki. Ba, znalazła się nawet i pewna mieszcza, która wręcz powiedziała, że będzie te posiłki na swojej kuchni osobiście gotować.

— Słyszałam od ludzi w świecie bywałych — dodała na końcu swego przemówienia — że zwierza takiego należy karmić kaszą.

— Ale jaką kaszą? — rzucił ktoś zaraz pytanie. — Bo być może jaglana dla niego najstosowniejsza albo też gryczana palona, albo może drobna, krakowską zwaną?

Zdania były podzielone. Jedni wołali, że taką, inni, że owaką, gwar się na rynku podniósł ogromny i nawet nikt nie słyszał, jak na bryczuszce zaprzęzonej w gniadego zajechał na rynek sam burmistrz.

— Prr! Gniady! — zawołał i ściągnął lejce jedną ręką, bo drugą trzymał za obrozę owo dziwne zwierzę.

Tłum zaraz go otoczył. Zwierzę zwane psem wydało się wszystkim piękne, ale i groźne. Z otwartej paszczy, w której połyskiwały duże, białe kły, zwisał czerwony jęzor. Już ten sam widok mógł wzbudzić lęk. Wszyscy więc podziwiali pana

burmistrza, że taki nieustraszony i jakby nigdy nic, zwierzę osobiście i własnoręcznie trzyma za obrożę. Ktoś, chyba był to piekarz, imć pan Bochenek, nawet zakrzyknął:

— Niech żyje!

Ale nikt nie podjął tego okrzyku, bo w tejże samej chwili pan burmistrz wysiadł z bryczuszki, a za nim wygramolił się onże oczekiwany pies. Stał na swoich czterech łapach przy panu burmistrzu i gapił się po ludziach, co się dokoła cisnęli, kiedy mała Agnieszka piekarczówna zaczęła piszczeć, że się boi.

— Cicho, cicho, córuchna! — uciszała ją pani piekarczowa, ale pies zaniepokojony Agnisinym piskiem obejrzał się w tamtą stronę i wydobył z siebie groźny głos.

— Hau! hau! hau! — zabrzmiało na rynku.

90

— Co to? Co to? — pytali poniekąd, ale burmistrz, jako że na rzeczy już się znał, zaraz uspokoił wszystkich, że psy właśnie taki, a nie inny głos z siebie wydają. A ten głos nazywa się szczekaniem i wydobywa się z psiej paszczy, jak to widać.

— Ale, gdzie tam z paszczy się wydobywa, kiedy mi się widzi, że on ogonem szczeka! — powiedział na to imć Bochenek. — Czy nie widzicie, panie burmistrzu, że kiedy owo szczekanie się

rozlega, to pies wtedy ogonem rusza? Nic więc innego, tylko ogonem szczeka. No, popatrzcie tylko.

— Racja! — poparła imć Bochenka stara Agata, która sprzedawała na rynku warzywa. — Kiedy szczeka, to rusza ogonem. A jak milczy, to ogon ma podkulony. Więc znaczy się ogonem szczeka, nie?

Byli co prawda i tacy, którzy powiadali, że imć Bochenek i stara Agata nie mają racji, ale byli i tacy, którzy od razu przychyłili się do ich zdania. I taki krzyk się zrobił na rynku, że już nawet i tego psiego szczekania nie było słycać. Aż wreszcie sam burmistrz musiał sprawę rozsądzić. Ale że nie chciał niczyjej strony wziąć, więc kazał, żeby ci, co mówią, że pies szczeka ogonem, stanęli po jednej stronie, a ci, co innego są zdania — po drugiej. A że tych, co byli za tym szczekaniem ogonem okazało się więcej, więc od tego czasu mówią ludzie w okolicy, że w Czyżewie psy szczekają ogonem.

.

Księżyc w Wilamowicach

iezwyczajna historia zdarzyła się kiedyś bardzo, bardzo dawno temu w Wilamowicach. A Wilamowice to taka wioska w powiecie bielskim.

Otóż przed wielu, wielu, niezmiernie wielu laty żyła w tych Wilamowicach dziewczyna. Nazywała się Agata. Agata była gruba w sobie, miała niebieskie oczy, rumiane i okragłe policzki i dwa warkocze, jasne jak zboże i pięknie, równo splecione. I Agata miała też ogromnie dobre serce. Taka już była, że każdemu rada by pomóc. I tak sobie zawsze myślała, że bez jej pomocy to już nikt na świecie rady sobie nie da. Lubili ją za to ludzie we wsi.

I kiedyś tak się zdarzyło, że późnym już wieczorem Agacie zachciało się pić. Zagląda do wiadra — a wiadro puste. Więc łap! za wiadro i biegnie do studni po wodę. Zagląda Agata do studni i jak nie wrzaśnie, jak się łzami rzewnymi nie zaleje! A wrzasnęła tak głośno i żałośnie, że zaraz się ludzie z sąsiednich chat zbiegli.

— Co ci to, Agato? — pytają.

A ona tylko ręką na studnię pokazuje i woła z ogromnym szlochaniem:

— Rety! Ludzie! A to przecież księżyc w studni się utopił!
Rety! Rety! Już nigdy on nam nad naszą wioską nie zaświeci! A
taki pięk-

92

ny, taki srebrzysty, maluśki, nieboraczek. I utopiony! I jakże
teraz w ciemnościach będziemy żyli?!

Zaglądają ludzie do studni. Co racja, to racja! Księżyc widać na
dnie! Utopiony na amen!

— O rety! Rety! Co teraz będzie? — martwią się ludzie.
Kobiety w płacz, a mężczyźni bezradnie stoją wokół studni,
głowy smutnie pochylone — bo co tu można poradzić? Tylko
dobra Agata zawołała:

— Ludzie! A czegoż wy tak niemrawo stoicie? Przecież trzeba
ratować nasz miesięczek srebrzysty! Jakże to? Co powiemy bez
niego?

— Ano pewnie! Dobrze by było księżyc ze studni wyciągnąć
— uradzają ludzie. — Tylko że kto do studni po ten księżyc
wejdzie?

— No, kto na ochotnika? — pytają starsi gospodarze i po mło-
dziakach patrzą. Ale nikt się jakoś nie zgłasza.

I wtedy dobra Agata zawołała po raz drugi:

— To wyście tacy? To do ratowania księżycy to was nie ma?
Sama więc go wyratuję, choćem słaba kobieta!

Łzy fartuchem otarła i buch! skoczyła na cembrowinę! Ale że noga się jej pośliznęła, więc głową trzasnęła z całych sił o żuraw studzienny. Zamroczyło ją od tego uderzenia, że aż na trawę przy studni upadła jak nieżywa.

— O rety! Zabiła się Agata! — krzyknęły na ten widok kobiety. A krzyknęły tak głośno, że Agatę tym wrzaskiem z omdlenia przebudziły.

Otworzyła więc oczy, spojrzała na niebo i znów zawołała, ale tym razem radośnie:

— Patrzajcie, ludzie, patrzajcie! A przecieżem go wyciągnęła z tej studni. Przecież znów na niebie, nad Wilamowicami świeci.

Co racja, to racja! Księżyc świecił na niebie. Wszyscy to mogli stwierdzić. I ludzie w Wilamowicach stali się okropnie dumni z tego własnego, uratowanego przez Agatę księżycy. Zresztą świeci on tam dotychczas.

Łopata małego piekarczyka

Eyło to dawno temu — chyba więcej niż pięćset lat minęło od tych czasów, gdy w mieście Elblągu mieszkał mały piekarczyk. Mówią ludzie, że nazywał się Marcinek. Był synem biednej wdowy i matka oddała go pod opiekę mistrzowi piekarskiemu, aby wprawił się i wykształcił w zacnym rzemiośle.

Dobry mistrz Bartłomiej bardzo był zadowolony ze swego ucznia. Marcinek — najzdolniejszy i najpilniejszy ze wszystkich czeladników, zawsze umiał w porę wyjąć z pieca wielkie

bochny chleba, tak aby były w miarę rumiane, i nikt tak, jak on, nie umiał piec słodkich kukiełek z białej, pszennej mąki, posypywanych makiem i plecionych w wymyślne a śmieszne kształty.

Nic więc dziwnego, że do piekarni mistrza Bartłomieja zaglądały wszystkie dziewczęta z miasta po dobre pieczywo. I nic też dziwnego, że wszystkie lubiły młodego i wesołego czeladnika Marcinka. Rade też z nim rozmawiały, rade słuchały jego żartów i piosenek, bo śpiewać podobno umiał wcale nie gorzej niż piec słodkie kukielki.

Jedna tylko była dziewczyna wtedy w mieście Elblągu, która pogardliwie odwracała się od młodego, wesołego piekarczyka, która wydymała buzię, gdy pozdrawiał ją, stojąc przed sklepem majstra

Bartłomieja, i która nie chciała słuchać jego piosenek. A jeśli zresztą nawet chciała, to nie dawała tego po sobie poznać.

Ta dziewczyna nazywała się Agnieszka i była jedyną córką również znanego w mieście Elblągu mistrza nad mistrzami, samego znakomitego płatnerza Urbana. Płatnerz Urban słynął szeroko z tego, że nikt tak jak on nie potrafił sposobić mocnych zbroi dla rycerzy, wykuwać najpiękniejszych tarcz, których nie przebiła żadna strzała nieprzyjacielska, i hartować mieczy niełamliwych.

Taka więc jasnowłosa Agnieszka dumna była z rzemiosła i sławy swego ojca, że uważała sobie za uchybienie, żeby z

piekarczykiem miała się zadawać. Martwiło to Marcinka, bo bardzo mu się Agnieszka podobała. Warkocze miała grube, złote i długie aż za kolana, a oczy niebieskie jak niebo, jak chabry, jak niezapominajki. Śpiewał jej co prawda różne piosenki, w których żartami mówił o tym, że chleb jest tak samo potrzebny, jak i miecz, ale Agnieszka dalej na jego widok dumnie odwracała główkę.

Aż kiedyś popłoch w mieście zrobił się ogromny. Bo oto strażnicy, którzy na murach obronnych miasta wartę pełnili, trąbić zaczęli na alarm. I zaraz po Elblągu wieść pobiegła, że oto hufce krzyżackie na miasto wałą. Złękli się ludzie w mieście ogromnie. Jakże to będzie? Jak się obronić? Rycerzy w mieście ani poświeć, bo na łowy z księciem wyruszyli, a miasto samo sobie zostawione. A krzyżacy rycerze na szybkich koniach coraz bliżej są miasta. Widać już dobrze czarne krzyże na ich białych płaszczach, wydymanych przez wiatr. Co począć? Jakże się będzie miasto bronić?

Krzyżacy są już coraz bliżej, już niedaleko fosy, co miasto otacza, lada chwila wpadną na most zwodzony i dostaną się do miasta.

— Most! Most trzeba do góry podnieść i bramę miejską w ten sposób zamknąć! — krzyczą ludzie.

Ba, ale jak się ten most zwodzony podnosi? Trzeba by linę odciąć, aby podniósł się do góry. Jakże ją odciąć? Lina gruba. Żeby to chociaż jakiś rycerz był w pobliżu, toby mieczem ciął!

Aż tu naraz, patrzcie, ludzie: z tłumu wyrywa się czeladnik młodziutki od Bartłomieja — piekarczyk Marcinek. Łopatę swoją piekarską w ręku trzyma, widać prosto od pieca odbiegł.

Patrzą ludzie, a piekarczyk łopata się zamierza i buch! w linę uderzył! Więc choć to była chwila strachu przed wrogiem, poniektórzy uśmiechnęli się, bo gdzie tam taką linę przeciąłby kto piekarską łopata?...

Ale zaraz się śmiać przestali owi żartownisie, bo lina pękła pod uderzeniem Marcinkowej łopaty i oto most zaczyna podnosić się w górę. Podnosi się coraz wyżej i wyżej. Aby prędzej się już zamknął, bo Krzyżacy tuż, tuż przy fosie! Już konie hamują!

Zatrzasnął się wreszcie most zwodzony, a rabusie zostali po drugiej stronie wielkiej fosy obronnej, wypełnionej wodą. Niech spróbują teraz dostać się do miasta!

I tak według tej starej legendy piekarski czeladniczek Marcinek ocalił miasto Elbląg od najeźdźców.

A co potem z nim się stało? Powiadali ludzie, że łaskawsze stało się potem dla niego serce płatnerzówny Agnieszki i że poślubiła go, i że długo, długo żyli szczęśliwie.

Na pamiątkę zaś, że łopata piekarska może czasem być nie gorszym orężem od miecza, umieszczono ją nad bramą obronną.

I dziś jeszcze ludzie w Elblągu pokazują przyjezdnym to miejsce, gdzie wisiała niegdyś łopata.

»'■*•

^i,; Γ,;!'ΘT]" ■

Toruńskie pierniki

awne to były dzieje, bo już cztery wieki minęły od owych czasów, gdy w pięknym mieście Toruniu, słynącym już wtedy z wypieku smakowitych ciast, mieszkał mistrz piekarski Bartłomiej. Szerokiej sławy zażywał — ciasta wszelkie przez niego wypiekane za najlepsze uchodziły nie tylko w Toruniu, ale i nawet w innych miastach. Co prawda ludzie szeptali, że Bartłomiejowy czeladnik, młody, śmigły jak sosna Bogumił, takie przewyborne ciasta piec potrafi i że od samego mistrza jest w sztuce bieglejszy, ale sam Bogumił o sławę nic nie dbając tym się nie chwalił. Dobry to był chłopiec — do roboty chętny i w obejściu układny i zakochany do tego co niemiara w Bartłomiejowej jedynaczce — pięknej Rózi. Była ta Rózia nad podziw urodziwa — włosy miała barwy miodu, a oczy błękitne jak niebo w dzień pogodny.

Nic więc dziwnego, że Bogumił z tego zadurzenia w Rózi jak urzeczony chodził, zwłaszcza że majster Bartłomiej i jego małżonka, pulchna niczym pszenna bułka imć pani Marcjanna, wcale jeszcze swego zezwolenia na zrękowiny nie dali. A nie

dali dlatego, że się za bogatszym mężem dla córki rozglądali. Widział im się zwłaszcza niezmiernie majątny wdowiec, mistrz Pankracy. Tyle tylko, że sama panna nie bardzo Pankracemu sprzyjała, bo był stary i gruby, a Bogu-

7 — Było, nie było.

97

mił był urodny i wesoły jak ptak. Za to był biedny, a Pankracy w dostatek wszelki opdywał i darami Rózię obsypywał. A to naszyjnik z bursztynu i srebra przynosił, a to korale niezwykle, od zamorskich kupców kupione, a to wstążki! A raz nawet podarował jej rękawiczki, perełkami na wierzchu wyszywane — takie, jakie tylko wielkie damy nosiły. Zaś Bogumił? Ledwie mógł słodkie ciasto upiec dla swojej ukochanej albo przynieść kwiatki zerwane na łące czy w lesie.

Któregoś dnia, gdy szedł samotnie daleko za miastem, leśną drogą spostrzegł nad małym jeziorkiem kępkę niezapominajek. Pomyślał, że są błękitne jak oczy jego ukochanej, i pochylił się nad wodą. I wtedy spostrzegł, że w wodzie pływa przebierając z trudem łapkami niezwykle duża pszczoła. Skrzydełka miała zmoczone i bliska już była utonięcia, gdy Bogumił litościwie podsunął jej listek i troskliwie wydobył z wody.

W chwilę potem słońce osuszyło jej skrzydełka i pszczoła odleciała z wesołym brzęczeniem.

Wtem zdało się Bogumiłowi, że słyszy tuż za sobą jakiś cichy głos

— ni to świergot ptaka, ni to brząkanie struny. Obejrzał się więc i aż usta otworzył ze zdumienia — bo oto na kołyszącej się gałązce kaliny, niczym na tronie, siedziała maleńka osóbka w złocistej koronie. I Bogumił już od razu wiedział, bo nie darmo bajek się w dzieciństwie od starej babki nasłuchał, że nie jest to nikt inny, jak tylko sama królowa krasnoludków.

Przyklęknął więc dwornie przed tym królewskim majestatem na jedno kolano, a królowa głosem, co srebrzysty dźwięk sygnaturki przypominał, rzekła:

— Dzięki ci, zacny czeladniku Bogumile, żeś moją ukochaną pszczołę z topieli uratował. Jest to matka pszczelego roju, który miód dla nas w leśnych barciach zbiera. Poddani moi bowiem żywią się tylko miodem złocistym. Tak więc oddałeś nam wielką przysługę, że zaś zwykłam nagradzać przysługi, przeto słuchaj, co ci powiem. Słuchaj uważnie, bo wielką tajemnicę ci zwierzę. Przetrwa ona przez wiele wieków i zawsze nieść będzie radość i uśmiech. Otóż pomnij

— że jeśli oprócz zagranicznych korzeni i przypraw dodasz do pier-

98

ników, które wypiekasz, jeszcze i wonnego, słodkiego miodu — smak ich będzie niezrównany. Zaś pszczoły, jako żeś dobry był

dla ich matki i krzywdy im nie czynisz — zawsze cię swoim miodem obdarzą. I pomnij też i to, że jeśli rady mej posłuchasz, szczęście już cię nie opuści.

Pochylił się czeladnik Bogumił w pokłonie dziękując królowej krasnoludków, a kiedy podniósł głowę — już jej nie było, tylko gałązka kaliny chwiała się jeszcze, jakby ptak się z niej przed chwilą poderwał.

Przetarł czeladnik Bogumił oczy, bo nie był pewien, czy mu się sen taki dziwny w tym pachnącym lesie wyśnił, czy też naprawdę rzecz tak dziwna się zdarzyła. I tak się tym wszystkim zasumował, że już nawet niezapominajek nie zerwał, tylko do miasta spieszenie wrócił.

A w mieście zastał ruch i gwar niezwykły na ulicach. Patrzy czeladnik Bogumił, że mieszczanie gromadkami stoją i uradzają nad czymś.

Podszedł więc do znajomków i pyta:

— Co się tu dzieje, że taki ruch w całym mieście?

— Jakże to — mówi — nowiny nie wiesz najważniejszej, że jutro Król Jegomość, miłościwie całej polskiej ziemi panujący, do Torunia przybywa? I że się ludowi toruńskiemu w całym majestacie ukaże? I przybędzie ze swoją królewską małżonką i dworem?

— To dopiero! — zakrzyknął zdumiony czeladnik Bogumił i co tchu popędził do swego mistrza.

A w kamienicy Bartłomieja już aż wrzało. Mistrz sam się przy dzieży krzątał i ciasto zaczyniał. Ledwie zaś Bogumiła dojrzał, krzyknął srogo:

— A gdzieżeś to bywał?! Nie wiesz, że wszyscy mistrzowie piekarscy z całego Torunia co najlepsze ciasta i pierniki szykują, aby króla godnie podejmować? A z czymże ja się pokażę? Ciasto jeszcze nie zaczynione, a ty nie wiadomo gdzie się wałęsasz! Na wstyd i pohańbienie mnie narażasz. Wypędzę! Jak mi Bóg miły! Wypędzę, jeśli mi ciast i pierników na porę nie upieczesz!

99

Pokłonił się w milczeniu czeladnik Bogumił i zaraz ku dzieżom poskoczył, aby ciasto na pierniki zaczynić. Już mąkę przez sito przesiał, już korzenne przyprawy naszykował, gdy naraz przypomniał sobie o swojej leśnej przygodzie. I serce mu zabiło — a gdyby tak spróbować i z onym miodem złocistym ciasto wypiec? Co by to było?

Hej, hej! Co by to było, gdyby się tak był mistrz Bartłomiej dowiedział, że jego czeladnik w nocy przy dzieżach się krzątając, ciasto dziwnie przyprawia miodem złocistym, a potem w formy co najpiękniejsze je nakłada i do pieca wsuwa. Jedna forma wyłobiona była w kształcie rycerza, druga w kształcie serca zdobionego kwiatami, jeszcze inna jelenia przedstawia, a jeszcze inna damę strojną.

Gdy zaś błękitny poranek nad Toruniem zawisnął — upieczone już były Bogumiłowe pierniki.

Potem błękitność poranka zmieniła się w złocistość dnia i niczym drugie słońce zabłysła królewska korona, gdy król z królową i dworem na rynku zasiadł, górując nad ludem i łaskawie poczęstunek toruńskiego ludu przyjmował. Ale dopiero gdy mistrz Bartłomiej na srebrzystej tacy pierniki owe z miodem przez Bogumiła upieczone podał — rozległy się okrzyki pochwalne. Jako żywo nic jeszcze tak małym królewnom nie smakowało, jak ciemne, wonne ciasto w dziwnych formach wypieczone.

I nawet sam Król Jegomość raczył spróbować i pochwalić, a potem spytał:

— Któryż to mistrz te pyszności wypiekał? Pokłonił się Bartłomiej i na Bogumiła wskazał.

— Tenże to mój czeladnik — rzekł sprawiedliwie.

Pokręcił król jeszcze głową nad oną przedziwną smakowitością piernika i zaraz pisarza koronnego zawołał, aby przywilej królewski nadany dla miasta Torunia zapisał. Według zaś tego przywileju mieszkańcy miasta Torunia otrzymali po wszystkie czasy prawo wypiekania pierników miodowych i wysyłania ich do wszystkich innych miast, a zwłaszcza na jarmarki do Królewca.

Działo się to zaś wszystko w Roku Pańskim 1557 i aż po dzisiej-

szy dzień mistrzowie piekarscy w Toruniu z przywileju tego korzystają i według Bogumiłowego przepisu po dziś dzień pierniki miodowe w przepięknych formach wypiekają.

Trzeba by tylko jeszcze na zakończenie rzec, co dalej z czeladnikiem Bogumiłem się działo, ale po cóż opowiadać, kiedy od razu wiadomo było, że wobec królewskiej łaski już nikt nie przeszkodził mu w ożenku z piękną Rózią i że będzie żył potem w szczęśliwości i dostatku.

» ' ' ' B j >

'■', ". 'V >.

:



O wężowej wdzięczności

ziało się to w dawnych, bardzo dawnych czasach. W tak dawnych, że nikt już ich dobrze nie pamięta i tyle tylko wiadomo, że działy się wtedy rzeczy możliwe tylko w bajkach. W owych więc bardzo dawnych czasach żył w pewnej podgórskiej okolicy bardzo biedny chłop, którego zwano Bartuś. Chałupinę miał lichą, zabudowań gospodarskich w ogóle nie miał, a już o inwentarzu to nawet lepiej nie mówić. Jedną kaczkę siodłątą chował i tyle wszystkiego.

Pożytku z tej kaczki wielkiego nie było, bo jajek nie niosła, ale chodziła za swoim panem wszędzie jak pies i kwakała wesoło. A Bartuś dbał o nią. Ho, ho! Dogadzał jej ogromnie: a to świeżą trawkę dla niej zbierał, a to lebiody szczególnie soczystej dla niej szukał po łąkach, a to brał ją na ręce i do strumyka zanosił, żeby sobie popływała w czystej jak kryształ wodzie. A jakże, bardzo był ten Bartuś dbający.

Tak więc przez tę dbałość o kaczuśię wybrał się pewnego dnia Bartuś trochę dalej od domu szukać lebiody i zielonej rzęsy, co

zarastała niewielki staw w odległej dolinie, połyskujący ciemną wodą. Wziął z sobą Bartuś przetak, aby łatwiej tej rzęsy zielonej nabrać, idzie kamienistą dróżką i pogwizduje wesoło. Nagle — aż się zatrzymał. Bo mu się zdało, że ktoś jakby mu wtóruje. Najpierw pomy-

102

ślał, że to może echo. Ale kiedy się wsłuchał, to przekonał się, że to nie echo, tylko ktoś w pobliżu cicho a pięknie poświstuje.

Rozejrzał się wokoło, ale nikogo nie widać. Chciał więc ruszyć dalej, kiedy ktoś do niego zagadał:

— Pomóż mi, Bartusiu!

Bartuś znów obejrzał się za siebie, na boki. Ale gdzie tam! Nikogo nie ma.

Powiedział wobec tego:

— Kiedy cię nie widzę! Gdzieżeś się ukrył?

— Pochyl się aby w stronę tego jałowcowego krzaka!

Zbliżył się Bartuś do jałowcowego krzaka, który rósł opodal, patrzy — a pod krzakiem wąż leży. Głowę podniósł i syczy a poświstuje. A na głowie ma koronę z kropel rosy, co błyszczały w słońcu jak drogie kamienie.

I Bartuś od razu poznał, że to jest węzowy król.

— Prośbę mam do ciebie, Bartusiu — zasyczał wąż. — Prośbę jedyną. Abyś wziął mnie do tego twojego przetaka i zaniósł aby trochę pod górę. A już ja cię za to wynagrodzę.

— Czemu nie. I bez nagrody to zrobię, panie królu węzowy — powiedział Bartuś i pokłonił się pięknie. Potem włożył do przetaka węża w błyszczącej koronie i zaniósł pod górę. Tam, gdzie mu węzowy król drogę wskazał. A kiedy już przyszedł na miejsce i węża położył według życzenia na trawie, gad znów powiedział:

— Wdzięczność moją królewską chciałbym ci okazać. Pochyl się nade mną.

Posłuchał Bartuś, a król węzowy zasyczał. I wtedy poczuł Bartuś, że jakby mu wiatr ciepły głowę owionął. A król węzowy mówił dalej:

— Dałem ci taką moc czarodziejską, że kiedy zechcesz, to świstaniem możesz burzę sprowadzić, pioruny zwołać i skały poruszyć. Może ci się to w życiu przyda. A teraz zabierz swój przetak i zejdź w dolinę. Spotkasz tam na drodze orszak królewski i króla jadącego na karym koniu. Pamiętaj wtedy o mocy, którą cię obdarowałem.

Pokłonił się Bartuś w podzięcie, przetak zabrał i wraca w dolinę,

103

aby ze stawu rzęsy dla kaczuki nabrać, kiedy naraz usłyszał za sobą tętent i rzenie koni. Obejrzał się, patrzy, ręką oczy od

słonecznego blasku osłaniając, patrzy — a tam orszak królewski jedzie. A na przodzie sam król w czerwonym płaszczu. Król koronę ma złotą jako samo słońce, a w ręku trzyma królewskie berło.

— Hej! — zawołał król. — Coś ty za jeden?

— Bartuś na mnie wołają, jasny panie królu.

— Hm, Bartuś, powiadasz? — Król podrapał się berłem w brodę i mówi dalej:

— Utrudzony jestem wielce podróżą. Chciałbym spocząć pod dachem. Jest tu może jaki zajazd w pobliżu, abym mógł się zatrzymać na nocleg?

— Nie ma tu żadnego zajazdu w tej okolicy, jasny panie królu — powiada Bartuś.

— A dwór być może jest jakiś?

— I dworu żadnego też nie ma.

— Gdzież się wobec tego zatrzymam z moim królewskim orszakiem? Utrudzony jestem i rycerze moi też są utrudzeni. A odpocząć musimy, gdyż jedziemy na wojnę.

— Rety! Na wojnę? — zadziwił się i przestraszył Bartuś.

— Nie bój się — łaskawie na to skinął berłem król. — Ja i moi rycerze pokonamy wroga. Ale przedtem spoczynku nam trzeba. Jest więc może w pobliżu bodaj jakaś chata, abym pod dachem mógł skłonić do spoczynku moją królewską głowę?

— Jest tylko moja nędzna chatynka, jasny panie królu. Jeśli nią nie pogardzicie, tam znajdziecie dach nad głową.

Przyjął więc król gościnę u Bartusia. Zsiadając ze swego królewskiego konia, od razu zauważył kaczusię, co na spotkanie Bartusia kołysząc się przydreptała. Ucieszył się na jej widok król i zawołał:

— Hej, dworzanie! Głodny jestem okrutnie. A więc dla zaspokojenia mojego królewskiego głodu co prędzej zabijcie tę kaczkę i upieczcie na ogniu.

Usłyszał to Bartuś i runął na kolana przed królem.

104

— Jasny panie królu! Nie zabijajcie tej kaczki! Mleka jest trochę w chacie, chleba czarnego mam kawałek i kaszy woreczek. Ale kaczki tej nie zabijajcie. Sam ją odchowalem od maleńkości.

— Nie — powiedział król. — Nikt nie może sprzeciwić się mojej królewskiej woli. Hej, rycerze, chwytajcie kaczkę i rozpalajcie ognisko!

— Słuchamy cię, królu nasz! — odpowiedzieli rycerze. Zamarło z żalości serce w biednym Bartusiu.

„Rety — pomyślał — rety! A cóż ja pocznę?”

Spojrzał jeszcze raz na króla i widzi nad sobą oblicze królewskie wąsate i groźne. Aż naraz przypomniał sobie tego drugiego,

wężowego króla. Przypomniawszy sobie o mocy, którą wężowy król go obdarował, i pomyślał sobie, że przecież spróbuje swej siły. Wstał więc szybko z kolan i świsnął głośno.

A za ledwie świsnął — wichura zerwała się ogromna, przeogromna. Zakręciło się wszystko, zakotłowało. Patrzy Bartuś, a jaśnie król przez wiatr niesiony w powietrzu się unosi, aż czerwony płaszcz furkoce. Rycerze niby liście jesienią wichrem są miotani hen, aż nad dachem chałupy, nad drzewami.

Wreszcie wiatr jaśnie króla na dach Bartusiowej chaty rzucił i tam się król zatrzymał przez to, że poszycia mocno się chwycił.

— Ratunku! Do mnie, rycerze i dworzanie! — krzyczał. Ale rycerze i dworzanie mijali go tylko w pędzie, wichrem niesieni.

— Ratunku! — wołał więc na próżno król swoim królewskim głosem.

A Bartuś pod boki się wziął i ze śmiechu się zanosi. Wreszcie powiada tak:

— Jaśnie królu, jeśli odechciało już ci się mojej kaczusi, to wicher zatrzymam i bezpiecznie zejdziesz z tego dachu.

— Nie, nie chcę żadnej kaczki — jęknął król — tylko niech ten wicher ustanie.

Gwizdnął więc Bartuś, a wiatr zaraz posłusznie wiać przestał i król z dachu bezpiecznie się zsunął. Ledwie jednak na ziemi stanął, w tej samej chwili wrzasnął srogo:

— Hej, rycerze i dworzanie! Wiązać tego chłopca, a kaczkę na obiad mi szykować!

— O, toś ty taki, jasny panie królu? — zawołał Bartuś. — Poczekajże ty!

I znów zaświstał.

A ledwie zaświstał, pioruny zaczęły bić wokoło. Ale tak groźne, tak huczące i tak jasne, że ziemia cała zdała się być w ogniu. Trzaskały te pioruny wokół króla i rycerzy tak, że z lęku nie wiedzieli, gdzie się schronić. I znów król, strachem zmożony, zaczął błagać Bartusia, aby te pioruny zatrzymał. Wysłuchał Bartuś i tym razem prośby królewskiej i znów zawierzył królewskiej obietnicy. Ale ledwie echo po ostatnim piorunie ucichło, król zaczął wołać, żeby Bartusia wiązać, a kaczkę zabić i upiec.

— Hej, królu, mam tego dość! — wrzasnął już na dobre rozgniewany Bartuś. — Zaraz cię tu uspokoję.

I znów zaświstał. A tym razem na świstanie deszcz zaczął lać okrutny. Ale tak okrutny, iż zdawało się, że strumienie i rzeki z nieba płyną. Król i jego rycerze mało się utopia, już im woda po szyję sięga, a Bartuś jakby nic nad wodą stoi i śmieje się z nich.

— Ratuj, nas, ratuj! Każ, niech ten deszcz padać przestanie! — zaczął wołać król. — Przyrzekam, że nie chcę tej twojej kaczki!

Ale że Bartuś już dwa razy zawiódł się na królewskich przyrzeczeniach, więc nie bardzo mu teraz dowierzał. Aż w końcu już dworzanie i rycerze królewscy prosić go zaczęli, żeby ich nie gubił za królewskie winy. Więc Bartuś prośby rycerzy wysłuchał i potoki deszczu zatrzymał. Woda zaraz w ziemię wsiąkła, a chmury rozeszły się i ukazało się słońce, aby ziemię osuszyć. Król swój czerwony płaszcz też na słońcu suszyć kazał, ale ledwie ten płaszcz wysechł, chwycili go dworzanie i Bartusiowi na ramiona zarzucili. A potem odebrali królowi koronę i berło i oddali Bartusiowi.

— Bądź ty teraz naszym królem — powiedzieli — boś lepszy i potężniejszy. — Jedź z nami do grodu, gdzie w zamku zasiądziesz na tronie.

Roześmiał się Bartuś, bo mu się to bardzo spodobało, wskoczył na

106

siodło królewskiego konia, koronę, co mu się na głowie przekrzywiła, poprawił i już miał berłem skinąć na znak, aby drużyna ruszyła, kiedy naraz na ziemię zeskoczył. Pochylił się i wziął na ręce kaczkę.

— Jakżebym bez niej pojechał — powiedział do drużyny. — Wychowałem ją od małości. W biedzie mi towarzyszyła, to i teraz jej nie zostawię.

I siedząc już w siodle, w żółty dziób kaczkę pocałował. A ledwie to zrobił — zamiast kaczkę siedziała obok niego na koniu piękna królewna.

— Byłam zaczarowana — powiedziała i pocałowała Bartusia. A potem pojechali w świat razem z całą drużyną i byli bardzo szczęśliwi. A król — ten, co był niedobry, zamieszkał w Bartusio-wej chacie i drwalem został.

O szlachetnym Gryfie i pięknej Syrenie

ziwna to jest historia, a wydarzyła się w owych dawnych czasach, kiedy Warszawa była zaledwie niewielkim grodem. Czerwone mury obronne zamykały wtedy w sobie rynek i kilka uliczek. Stateczni mieszczanie trudnili się rzemiosłem lub kupiectwem, a nad brzegiem Wisły, w chatach przytulonych do skarpy, niby w jaskółczych gniazdach, mieszkali rybacy i flisacy, którzy pływali na swoich zbożem i owocami ładownych galarach.

Żył też w wiślanych falach od pradawnych czasów stwór dziwny, zwany Gryfem. Głowę miał ludzką, piękną, ciało lwa, ogon zaś węzowy i ogromne nietoperzowe skrzydła. Rozumem obdarzony był nadludzki, szlachetnością niezwykłą i męstwem

przewyższał najdzielniejszych rycerzy. A do tego serce miał tkliwe, pełne współczucia dla każdej niedoli.

Nikt nie wiedział, dlaczego wspaniały Gryf upodobał sobie tę szarą, cicho płynącą rzekę i miasto nad nią wzniesione.

Jedno tylko było pewne, że czuwał nad nim i otaczał je swoją opieką. Strzegł go od ognia i powodzi, trzepotem swoich skrzydeł odganiał burzowe chmury, a jeśli wróg uderzał na miasto — raził go swym mieczem.

W dni spokojne i pogodne wynurzał się z fal Wisły i układał na
108

mieliznach. Nieraz widziano go na wieżach strażniczych lub na dachach kamieniczek, czasem przemykał się przez zieleń królewskich ogrodów. Nocą zaś, gdy świecił księżyc, przechadzał się po rynku, biegł wąskimi uliczkami lub odpoczywał na kamiennych schodkach.

Dlatego też zacni ojcowie miasta Warszawy, czując jego przemożną opiekę, uwiecznili postać Gryfa na pieczęciach miejskich i wszystkie dokumenty, dla potwierdzenia ich ważności, pieczętowali ową pieczęcią, odciśniętą w laku lub wosku.

Aż wreszcie pewnego dnia Gryf przysiadł na flisackiej tratwie i popłynął hen, aż do Bałtyku. Dobrze mu się płynęło, a kiedy tratwa uderzyła o gdański brzeg niby o morski próg — Gryf spotkał wynurzającą się z morskich fal Syrenę. Była piękna,

jasnowłosa, a łuski jej rybiego ogona połyskiwały srebrnie. Śpiewała przy tym niezwykle, tak jak tylko potrafią Syreny.

Na widok Gryfa przerwała swój śpiew i szepnęła:

— Jestem córką króla Bałtyku. A ty kim jesteś?

— Ja jestem Gryf — odrzekł.

— Gryf? — powtórzyła z zachwytem Syrena. — O, zostań tu ze mną na zawsze. Będę ci śpiewać swoje ulubione pieśni...

— Nie mogę tu zostać, chociaż jesteś najpiękniejszą Syreną na świecie. Muszę wracać do małego, cichego miasta nad Wisłą. Nie mogę go porzucić. Nie mogę pozostawić bez opieki.

— To zabierz mnie z sobą — powiedziała wtedy Syrena. — Chcę być razem z tobą, gdyż nie ma wspanialszego nad ciebie rycerza.

Powrócił więc Gryf do Warszawy razem z jasnowłosą Syreną. I zamieszkali na łasze wiślanej, wśród szumiących wierzb.

Ale któregoś dnia trębacz na miejskiej wieży zatrąbił na trwogę. Rozległ się poprzez całe miasto okrzyk:

— Do broni! Szwedzi otaczają miasto!

Usłyszał to Gryf, poderwał się na swoich skrzydłach i rzucił się do obrony ukochanego miasta. Jego miecz raził wrogów jak piorun, uciekali przed nim w trwodze. Lecz znalazł się wśród nich jeden,

który zdradą i podstępem zbliżył się do Gryfa i śmiertelnie ranił go w samo serce.

Po raz ostatni i ze straszliwym wysiłkiem poruszył skrzydłami ranny Gryf i opuścił się na wiślaną łacę, gdzie czekała na niego Syrena.

Ale to już był koniec jego życia.

Wtedy Syrena, krzyknawszy rozpaczliwie, schwyciła jego miecz i jak burza rzuciła się w bój. Gryfowy oręż czynił ogromne spustoszenie.

Przerażeni Szwedzi odstąpili od murów.

Wielka była w mieście radość z tego zwycięstwa. Ludzie wiwatowali i palili ogniska, grała muzyka. Tylko na wiślanej łasze, obok Gryfa z przebitym sercem, płakała Syrena. Ale że pokochała to Gryfowe miasto, więc już pozostała w nim na zawsze. I tak jak Gryf ongiś, tak teraz ona zaczęła złotym mieczem bronić Warszawy w niebezpieczeństwie.

Zaś panowie rajcowie miejscy uznając to, zaczęli z czasem zamieszczać na pieczęciach jej wizerunek zamiast obrazu Gryfa.

I tak już zostało po dzień dzisiejszy.

■•."<:-

*v.

te) 3: πi 3 „\4 -

}■.<■■■

Kamień pod Wolsztynem

miasto Wolsztyn nie jest bardzo dużym miastem. Jest to nawet zupełnie niewielkie miasto. Ale za to o Wolsztynie i jego okolicach przechowało się dużo opowieści. Oto jedna z nich.

W pewnej wiosce pod Wolsztynem (nikt już dziś nie pamięta nazwy tej wioski) był staw — ni duży, ni mały. A w pobliżu stawu, w białym dworze, mieszkał pewien dziedzic. Strasznie chytry był ten dziedzic: bardzo, ale to bardzo chciał mieć dużo pieniędzy. I ciągle myślał o tym, jak by te pieniądze zdobyć. Najłatwiejszą drogą wydawało mu się znalezienie jakiegoś skarbu. Szukał więc wokoło — szperał w pniach starych spróchniałych drzew, kopał w lesie i na polu, rozgrzebywał stare mury.

Aż raz przyszła do dworu Cyganka. Zaczęła mu tak tajemniczo opowiadać o skarbach ukrytych w pobliżu jego dworu, że dziedzic doszedł do przekonania, iż ów poszukiwany przez niego skarb znajduje się na pewno na dnie owego pobliskiego stawu. Zaraz więc zaczął poszukiwania. Staw był zamulony i porośnięty zieloną rzęsą i sitowiem. Ale to nie zniechęciło chytrego dziedzica.

„Spuszczę wodę z tego stawu — postanowił — to na pewno znajdę ukryte w nim skarby”.

Najął więc dziedzic robotników i dalej do roboty. Wykopali

głębokie rowy, przez które spłynęła woda ze stawu, i ukazało się dno. A na dnie leżał ogromny, oślizły, pokryty wodorostami kamień. Był to rzeczywiście niezwykle wielki głaz. W dodatku, gdy zaczęto oczyszczać go z mułu, okazało się, że na kamieniu wyryty jest napis:

„Zmiłuj się, jeżeli masz serce ludzkie, i obróć mnie!”

— Jest skarb! Pod kamieniem jest skarb! — ucieszył się dziedzic. I co prędzej zabrał się do obracania kamienia.

Niełatwa to była sprawa. Kamień był olbrzymi i trzeba było nie lada wysiłku, aby go podważyć. Aż wreszcie udało się! Kamień został odwalony!

Dziedzic rzucił się, aby co prędzej wydobyć ukryte pod kamieniem skarby. Być może, będzie to skrzynia pełna złotych dukatów. Albo nawet i beczka pełna cennego kruszcu! A może mniejsza skrzyneczka, ale za to wypełniona po brzegi klejnotami?

Ale nic takiego nie znalazł pod odwróconym kamieniem. Za to na kamieniu z drugiej strony wyryty był również napis.

— Może to wskazówka, jak dalej szukać skarbu — powiedział dziedzic i zabrał się do odczytywania napisu. A napis brzmiał tak:

„Dziękuję ci, żeś mnie odwrócił, bo sobie bardzo bok odleżałem!" Zaklął dziedzic bardzo rozgniewany i od tego czasu zaniechał już

poszukiwania skarbów, a ludzie w okolicy wyśmiewali się z niego do

końca życia.

Mądra baba

ziało się to w owych odległych czasach, kiedy królowie polscy z Krakowa do Warszawy się przenieśli i w zamku nad Wisłą zamieszkali. Bardzo byli krakowianie niezadowoleni z tej przeprowadzki. Bo jakże! Jeśli przedtem mieli jakie zmartwienie, to zaraz na Wawel szli i pytali króla jegomości, jak mają postąpić. A po tych przenosinach to już w każdej ważnej sprawie musieli posłowie jechać aż do Warszawy.

No i właśnie w owych czasach któregoś dnia na krakowskim Rynku wieść się dziwaczna i straszna wśród przekupek i mieszczan rozeszła, że w tej soli, co się ją z wielickich kopalni dobywa — robaki się zaległy.

— Rety! — wołały przekupki — co to będzie! A czymże będziemy solić nasze jadlo? Robaki przebrzydłe, gotowe nam wszystką sól wielicką pożreć! I dalej lamentować.

Nie byle jakie to zmartwienie! Rajcowie krakowscy, kiedy wieść ta do nich dotarła, zasepili się srodze. Zasiedli w ratuszowej sali i radzą. Radzą i nic uradzić nie mogą. Aż wreszcie postanowili, że do króla jegomości, do Warszawy, posłowie pojedą, aby go o światłą radę prosić. I zaraz nazajutrz wyruszyli owi posłowie w drogę.

8 — Było, nie było...

113

)

Trzech ich było. Jeden z nich, najstarszy i najgrubszy, w karocy jechał, a dwaj młodszy i chudszy — na koniach.

Jechali tak, jechali dzień i noc, aż wreszcie dojechali i przed królewskie oblicze mieli być dopuszczeni.

Weszli do sali ogromnej, całej w malowidłach i złocie, marmurami zdobionej, a król jegomość na tronie siedzący, łaskawie rozkazał, aby śmiało swoją sprawę przedłożyli. Mówią więc, co i jak jest

z wielicką solą.

Wysłuchał ich król i aż koronę zdjął, żeby się w głowę z wielkiego zafrasowania podrapać. Bo jak tu zaradzić na taką

biedę? Wreszcie klasnął w ręce, kazał wołać najważniejszego ministra i rzekł do

niego te królewskie słowa:

— Rad bym przekonać się, czy na ministra się nadajesz i czy potrafisz w tak trudnej sprawie dać sobie radę. Jedź więc razem z tymi oto rajcami do Krakowa, zbadaj wszystko i znajdź sposób na

one robaki.

I nic więcej król nie rzekł, bo czasu nie miał. Musiał się przecież troszczyć o całe królestwo.

Wracają więc rajcowie do Krakowa, a najważniejszy minister jedzie z nimi. Karoca okrutnie podskakuje na wyboistej drodze, a minister nic na to nie zważa, tylko myśli i myśli, jak by na te robaki w wielickiej soli zaradzić.

I nic nie może wymyślić.

— Król jegomość gotów mnie przepędzić, jeśli rady nie znajdę

— martwi się minister.

Aż tu naraz niedaleko Piotrkowa konie przy karocy ustały ze zmęczenia. Ani rusz nie chcą jechać dalej, bo droga ciężka, a koniska

całe pianą pokryte.

Stanęli więc w szczerym polu i rozglądają się, czy gospody jakiej w pobliżu nie widać albo bodaj strumienia, żeby zgonione konie

napoić.

Ale wokół tylko pola, a pola zieleniejącym zbożem pokryte, a miedzą baba idzie w sutych kieckach. Więc jęli ją wołać a przyzywać, aby do nich podeszła.

1 1 A

114

Kiedy zbliżyła się, zobaczyli, że jest młoda, urodna, a oczy ma jak len — takie niebieskie, wesoło na świat patrzące.

— Gospody jakiej tu nie ma w okolicy? — pyta sam najważniejszy minister.

— Nie ma — mówi baba — a dokąd to, panowie, jedzicie?

— Do Krakowa. — A po co jedzicie, panowie? — pyta śmiało baba.

— Nie na twój babski rozum to jest sprawa — mówią. — Robaki zaległy się w wielickiej soli i coś na to poradzić musimy, ale nie wiemy jak.

— Robaki w soli, powiadacie, mości panowie? — baba pod boki się ujęła i śmieje się serdecznie.

— Czegóż to się śmiejecie, dobra kobieto? — pyta najważniejszy minister. — Może wiecie, jak na to zaradzić?

— Co bym nie miała wiedzieć! Pewnie, że wiem. Nie turbujcie się, poradzę wam: macie pod Krakowem rzekę wielką, Wisłę. Każcie, panie, krakowianom, niech wezmą tę rzekę, rozwieszają na płotach i ususzają na proszek. Potem niech tym proszkiem sól zasypią, a wszystkie robaki wnet pozdychają.

Spojrżeli po sobie rajcowie i królewski minister, dukata złotego babie do fartucha wrzucili i ruszyli pędem do Krakowa.

Nie jest pewne, czy minister i rajcowie posłuchali rady, ale taką gadkę wiążą starzy ludzie ze wsią, która nazywa się Baby, a leży niedaleko Piotrkowa. A stąd gadka podobno się wzięła, że wieś owa słynęła z kobiet, które tak sprytnie językiem obracały, iż nawet samego ministra mogły dowcipem zadziwić.

I

Mi --.""._>

wawelskie

■

ydarzyło się więcej niż czterysta lat temu, że któregoś dnia na Rynku krakowskim rozległ się wśród kramów krzyk ogromny: „Łapcie złodzieja!” A ledwie okrzyk ten się rozległ, zebrała się

zaraz cała gromada gapiów, radych, że widowisko się nadarza. Zaśpasamonik mistrz Błażej, wołał:

— Najpiękniejszy pas złotolity z kramu mi porwał! Ratunku! Wiadomo było, że mistrz Błażej jest najznakomitszym pasamoni-

kiem w całym Krakowie, to znaczy takim, co przepiękne pasy, złotymi i srebrnymi nićmi przetykane misternie, utkać potrafi, i że niechybnie pas, który złodziej porwał, musiał być nie byle jakiej wartości.

— Łapcie złodzieja! — powtarzał tymczasem Błażej i całą siłą swych potężnych ramion, bo wielkiej był tuszy, rozgarniał tłum, aby rzucić się w pogoń za winowajcą. Rozstąpili się więc ludzie na dwie slrony i wówczas to ujrzeli, leżący na bruku u stóp niejkiej Ofki, ubogiej wdowy, ów pas złotolity.

— Ona-że mi go skradła! — zakrzyknął pasamonik i szarpiąc biedną Ofkę, która zapewniała go o swojej niewinności, wydał ją pachółkom miejskim, aby ją w lochach zamknęli. I jeszcze wołał, że sprawiedliwej a srogiej kary dla winowajczyni będzie szukał przed sądem królewskim na zamku.

116

Głowy

Wiele jest pięknych i bogatych sal na zamku Wawelskim, przestrzennych i niezwykle zdobionych. A jedną z najpiękniejszych jest sala zwana Poselską i z tego to szczególnie

jest znana, że na jej stropie, w drewnianych obramieniach widnieją przedziwnie rzeźbione ludzkie głowy. Taką zaś ogromną sztuką są przez żyjącego przed wiekami artystę odtworzone, że zdają się być żywe.

W tej to sali przed czterema wiekami odbywały się sądy, podczas których sam król, wówczas panujący Zygmunt August, zasiadał za stołem sędziowskim. I przed tym królewskim sądem stanęła wdowa Ofka.

— Jakże to było? — pytali król i wraz z nim zasiadający sędziowie.

— Pod jej nogami pas mój leżał, bo widać zalekniona upuściła go na ziemię! — wołał pasamonik Błażej. — Ludzie godni poświadczą, że widzieli pas u jej nóg leżący.

Na te słowa wdowa Ofka odpowiedziała rzewnym płaczem:

— Niewinnam! Na głowy moich dzieci nieletnich przysięgam, żem niewinna i żem nigdy moich rąk kradzieżą nie splamiła! Nie wzięłam Błażejowego pasa! Być może złodziej, uciekając pod moje nogi go rzucił.

Ale sędziowie i król nie uwierzyli tym zaklęciom i wydali srogi wyrok: że winna kradzieży złotolitego pasa wdowa Ofka ma być przykładnie wychłostana.

— Przysięgam na dzieci moje, żem niewinna! — powtórzyła jeszcze raz z rozpaczą Ofka. I patrzyła błagalnie na króla i sędziów czekając zmiłowania.

Nie dojrzała jednak w ich oczach miłosierdzia. Więc żałość ją ogarnęła tak ogromna wobec tej niesprawiedliwości, że zawołała:

— Jeśli nawet przed królewskim majestatem sprawiedliwości znaleźć nie mogę, to niech o mej niewinności zaświadczą te głowy na sklepieniu rzeźbione i niech one wyrok wydadzą! A będzie na pewno litościwszy i sprawiedliwszy od waszego!

Cisza ogromna zaległa w tej chwili salę zamkową, bowiem wiel-

117

-

Głowy wawelskie

ydarzyło się więcej niż czterysta lat temu, że któregoś dnia na Rynku krakowskim rozległ się wśród kramów krzyk ogromny: „Łapcie złodzieja!” A ledwie okrzyk ten się rozległ, zebrała się zaraz cała gromada gapiów, radych, że widowisko się nadarza. Zaś pasamonik mistrz Błażej, wołał:

— Najpiękniejszy pas złotolity z kramu mi porwał! Ratunku! Wiadomo było, że mistrz Błażej jest najznakomitszym pasamoni-

kiem w całym Krakowie, to znaczy takim, co przepiękne pasy, złotymi i srebrnymi nićmi przetykane misternie, utkać potrafi, i że niechybnie pas, który złodziej porwał, musiał być nie byle jakiej wartości.

— Łapcie złodzieja! — powtarzał tymczasem Błażej i całą siłą swych potężnych ramion, bo wielkiej był tuszy, rozgarniał tłum, aby rzucić się w pogoń za winowajcą. Rozstąpili się więc ludzie na dwie strony i wówczas to ujrzeli, leżący na bruku u stóp niejkiej Ofki, ubogiej wdowy, ów pas złotolity.

— Ona-że mi go skradła! — zakrzyknął pasamonik i szarpiąc biedną Ofkę, która zapewniała go o swojej niewinności, wydał ją pacholkom miejskim, aby ją w lochach zamknęli. I jeszcze wołał, że sprawiedliwej a srogiej kary dla winowajczyni będzie szukał przed sądem królewskim na zamku.

116

Wiele jest pięknych i bogatych sal na zamku Wawelskim, przestrzennych i niezwykle zdobionych. A jedną z najpiękniejszych jest sala zwana Poselską i z tego to szczególnie jest znana, że na jej stropie, w drewnianych obramieniach widnieją przedziwnie rzeźbione ludzkie głowy. Taką zaś ogromną sztuką są przez żyjącego przed wiekami artystę odtworzone, że zdają się być żywe.

W tej to sali przed czterema wiekami odbywały się sądy, podczas których sam król, wówczas panujący Zygmunt August, zasiadał za stołem sędziowskim. I przed tym królewskim sądem stanęła wdowa Ofka.

— Jakże to było? — pytali król i wraz z nim zasiadający sędziowie.

— Pod jej nogami pas mój leżał, bo widać zalekniona upuściła go na ziemię! — wołał pasamonik Błazej. — Ludzie godni poświadczą, że widzieli pas u jej nóg leżący.

Na te słowa wdowa Ofka odpowiedziała rzewnym płaczem:

— Niewinnam! Na głowy moich dzieci nieletnich przysięgam, żem niewinna i żem nigdy moich rąk kradzieżą nie splamiła! Nie wzięłam Błazejowego pasa! Być może złodziej, uciekając pod moje nogi go rzucił.

Ale sędziowie i król nie uwierzyli tym zaklęciom i wydali srogi wyrok: że winna kradzieży złotolitego pasa wdowa Ofka ma być przykładnie wychłostana.

— Przysięgam na dzieci moje, żem niewinna! — powtórzyła jeszcze raz z rozpaczą Ofka. I patrzyła błagalnie na króla i sędziów czekając zmiłowania.

Nie dojrzała jednak w ich oczach miłosierdzia. Więc żałość ją ogarnęła tak ogromna wobec tej niesprawiedliwości, że zawołała:

— Jeśli nawet przed królewskim majestatem sprawiedliwości znaleźć nie mogę, to niech o mej niewinności zaświadczą te głowy na sklepieniu rzeźbione i niech one wyrok wydadzą! A będzie na pewno litościwszy i sprawiedliwszy od waszego!

Cisza ogromna zaległa w tej chwili salę zamkową, bowiem wiel-

*Ile Wszystkim się wydało zuchwalstwo wdowy Ofki, gdy naraz roz-legł się głos spod sklepienia:

— Rex Augustę, iudica iuste!*

Spojrzeli wszyscy w górę i ujrzeli ze zdumieniem otwarte i poru-żające się jeszcze wargi jednej z rzeźbionych głów. .
Przyjęli wtedy z pokorą to niezwykle świadectwo król i sędziowie i nie tylko uwolnili Ofkę, ale jeszcze z królewskiej szkatuły otrzyma-

Jako odszkodowanie za krzywdzące posądzenie sakiewkę pełną srebrnych monet.

Nie jest to zupełnie pewne, która z głów rzeźbionych odezwała się wtedy w obronie skrzywdzonej kobiety. To jest jednak pewne, iż

' a artysty, który je rzeźbił, tchnęła w nie tyle życia, że każda z nich

a się rozumieć ludzkie sprawy. I stąd być może powstała ta legenda.

;;

•

^ytaj: Reks Augustę, judika juste — Królu Auguście, sądz
sprawiedliwie!

SPIS TREŚCI

Śpiewaj, rybko!	5
O Margosi młynarzównie.....	10
O cudnej wierzbinie.....	20
Szklana góra.....	25
Czterej bracia	31
Pajęczno.....	38
Korona króla Scytów	45
Kto umie pasać zające?	50
O wodnej bogince.....	57
Cielątko Rozalki.....	63

Jak powstały Karpaty.....	66
Jak Sobanek pŁanetnika gościł	68
Jak Bartuś z wiatrem gonił	71
Skarby w Tęczynie	81
Jak się diabeł uczył.....	84
Koniusza góra.....	87
Tam, gdzie psy szczekają ogonem	89
Księżyc w Wilamowicach.....	92
Łopata małego piekarczyka.....	94
Toruńskie pierniki.....	97
O wężowej wdzięczności.....	102
O szlachetnym Gryfie i pięknej Syrenie ..	108
Kamień pod Wolsztynem	111
Mądra baba	113
Głowy wawelskie	116